POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 8-go listopada 1941r.** **Rok III. Nr. 45**

NIEZAPOMNIANA ROCZNICA



rys Tadeusz Lipski

Jakaś mordercza zaraza
z głodem zawiera przymierze,
na przepełnionych cmentarzach
krzyże się wznoszą świeże.

Jakoweś głuche tętenty
wskróś przeszywają powietrze,
kłębią się gęste chmurzyska,
czyjaż to ręka je zetrze?

Jakaś olbrzymia rzeka
wezbrała krwią i rozlewa
wkrąg purpurowe swe nurty,
zabiera domy i drzewa.

Jakoweś idą pomruki,
drży niepoznana puszcza,
dęby się groźne ozwały,
cóż to za moc je poduszcza?

A nad tą dolą-niedolą
poranna nieci się zorza,
na pieśń mą Ojczyzny pełną,
spływa promienność boża.

Jan Kasprowicz (Z. "Księgi ubogich")

Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że Traktat Wersalski i jego towarzysz z Saint-Germain nie miały szczęścia do ludzi. Rzadko na którym pakcie międzynarodowym tyle się psów nawieszało, co na tej próbie zorganizowania Europy po długiej i krwawej wojnie. Nawet dziś jeszcze są ludzie na świecie, którzy z lubością powracają do mapy, wytkniętej przez Kongres Wiedeński roku 1815. Ba! opowiadał mi jeden z kolegów, że w jesieni 1939 roku, kiedy Hitler triumfująco ogłosił zakończenie działań w Polsce, a jego rzymski satelita zawtórował mu słowami "*La Polonia e liquidata*", (Polska jest skończona), zobaczył u jednego ze znanych generałów francuskich w Paryżu mapę Polski z wykreśloną granicą dawnych trzech zaborów. Generał ten jest dzisiaj podporą rządu w Vichy i nie czekał długo, aby względem wiernej sojusznicy zachować się tak. . . nie po wersalsku.

Wielką, pierworodną niejako słabością organizacji wersalskiej i jej konsekwencji—Ligi Narodów —był stosunek, jaki do Ligi przybrały Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Stosunek ten od początku był krytyczny, żeby nie powiedzieć—wrogi, i to bez względu na ojcostwo Wilsona. Ameryka wiedziała doskonale, ile znaczenia miało jej wkroczenie do wojny po stronie koalicji, lekceważyła Europę i nie zdawała sobie jasno sprawy z jej nowego układu politycznego. Nie wiedziała mianowicie, że nowy układ stosunków przekreśla równowagę ustaloną w Wiedniu, że likwiduje stan zapalny, powstały wskutek rozbiorów Polski, że wreszcie uświęca wielki proces wyzwoleńczy ludów europejskich, zarysowany przez rok 1848. Nie łatwo uczyć się na nowo geografii politycznej i przystosowywać pojęcia do innego układu sił. Utrudniły sprawę procesy społeczne i gospodarcze, po tamtej wojnie wynikłe; przyszła na stół drażniaca sprawa wierzytelności europejskich. Nowy Świat zaczął mieć dosyć Starego i nie krył pretensji do swego prezydenta, że go w tę aferę wplątał. Widzimy, że dziś nastąpiła znaczna zmiana poglądów na lepsze.

Pod takimi gwiazdami poczęta, nowa organizacja nie miała powagi i u swoich własnych uczestników. Nawet u tych, dla których była gwarancją niepodległego istnienia. Uderzmy sie w piersi rozmyślając nad drogami, jakimi chodziła polityka polska owej doby. Prawda, że na terenie genewskim ścierały się mocniejsze od polskich interesy, że od samego początku wprowadzono zgubny podział na wielkie mocarstwa i szarą hołotę, że nie umiano się nigdy zdobyć na wyrazy zdecydowane, ani na jakiekolwiek czyny. Prawda, że wskutek tego Niemcy jeszcze Stresemannowskie, potrafiły zręcznie wykorzystać, co się w Genewie dało, aby potem tejże Genewie zadać cios śmiertelny.

To wszystko prawda. Ale to nie umniejsza naszej winy. Nasi mężowie stanu zamiast dać się nieść prądowi, powinni byli raczej zdobyć się już wtedy na plan połączenia słabszych i przeciwstawienia się wspólnego mocnym. Nie trzeba było być dalekowidzem politycznym żeby przewidzieć, co się wkrótce stać musi.

Tymczasem postępowano wręcz inaczej. Sam słyszałem pamiętne filipiki w obronie zasady paktów dwustronnych, tak miłych Hitlerowi i tak dlań wygodnych. Stare maksymy, w rodzaju "*Concordia res parvae crescunt*" (Zgodą wzrastają rzeczy małe) albo "*L'union fait la force*", (jedność tworzy siłę) zostały całkowicie zapoznane i wyśmiane. Zdaje mi się, że się nie pomylę, gdy powiem, że w sieci, otaczającej niemieckiego rekina, my jedni z pierwszych przecięliśmy oko. To wystarczyło.

Nie zapoznaję innych przyczyn; najlepszym tego dowodem jest, iż rozpocząłem od Ameryki. Nie zapominam też i o nieszczęsnej powojennej rywalizacji między Francją i Wielką Brytanią, na Bliskim Wschodzie i na terenie europejskim. Ale co dla tych mocarstw było sprawą lepszej lub gorszej polityki—dziś się okazało, że to była polityka tak zła, iż grozi istnieniu—dla nas było rzeczą wyraźnie najważniejszą, politycznym "być albo nie być". Dlatego gorycz wzbiera, gdy się o tym myśli.

Dla nas 11 listopada 1918 roku i jego polityczne następstwa były momentem odrodzenia państwowego po wielu ciężkich latach niewoli. Był to fakt tak doniosły, że dzień 11 listopada zaczęto obchodzić solennie, jako jedną z uroczystości narodowych. Przekora pewnych czynników, które nie lubiły wspomnień konstytucyj republikańskich i z pewnym podrażnieniem godziły się na 3-ci maja jako na święto narodowe, dodawała 11-mu listopadowi z roku na rok coraz więcej blasku. Z drugiej jednak strony nie było nigdy uczuciowego w narodzie sprzeciwu przeciw takiemu podkreślaniu znaczenia 11-go listopada. Wszyscy czuli doskonale, że w historii Polski dzień ten zapisany był złotymi zgłoskami.

I nawet dziś, gdy to, co powołał do życia 11 listopad, na razie rozpadło się w gruzy, nikt znaczenia tego dnia pomniejszać nie może. Gdyby go nie było, nie bylibyśmy w tej chwili suwerennym sojusznikiem innych demokracyj świata w walce z przemocą. Bylibyśmy co najwyżej garścią powstańców, z nieskrystalizowanymi prawami państwowymi, bez legalnego i uznanego Rządu—mgławicą polityczną.

Gdy w zeszłym roku na tymże miejscu pisaliśmy o rocznicy 11-go listopada, zwracaliśmy uwagę na to, że nie sama wojna jest punktem newralgicznym w sprawie polskiej, ale jej etap końcowy—pokój. Widzimy bowiem, że nawet taki pokój, jak w roku 1918-ym zawarty, pozornie sprawiedliwy i dający zadośćuczynienie najważniejszym potrzebom ludzkości, może być przegrany po niewielu latach.

W Wersalu przegrano, bo nie liczono się z psychiką pokonanego nieprzyjaciela, bo zapoznano jego cechy narodowe i nie zapobieżono jego dążnościom odwetowym. Nie umiano się zorientować w tym, że Niemcy cesarskie i Niemcy republikańskie—to tylko chwilowo nie jedno i to samo. Istotnie, już w kilka lat potem Niemcy, niezniszczone wojną, wyczerpane wprawdzie, ale nie więcej od zwycięskiej Francji, zaczęły gryźć munsztuk i iść konsekwentnie ku odwetowi.

Cóż dopiero będzie po tej wojnie, kiedy nawet anty-hitlerowscy emigranci niemieccy przyznają, że jedna trzecia ich rodaków jest tak przepojona hitleryzmem, iż trzeba ją będzie zniszczyć, aby zapewnić ludzkości pokój na dłużej. To zresztą tylko sformułowanie bardzo dowolne, jeżeli w ogóle nie tendencyjne. Nie jedna trzecia, ale całe Niemcy wymagają gruntownej kuracji, z amputacją tego, co jest zgangrenowane.

Niestety, nie wszyscy dojrzeli, aby tę prawdę zrozumieć. Dziwne: "Mein Kamf" wprowadzany jest w życie systematycznie, z całym uporem wściekłego despotyzmu, a tu ciągle traktuje go się jako teorię, jako mrzonkę polityczną, której na serio brać nie trzeba. I to pomimo bomb, które padają i zabijają ludzi bez żadnych żartów. Niektórzy kładą to na karb charakteru umysłowości angielskiej. Nie uważajmy tego za specjalność Anglii, bo i w innych krajach byli ludzie o strusich nawyczkach. Szczęściem, nie wszyscy na terenie brytyjskim i amerykańskim mają tego rodzaju usposobienie; większość patrzy inaczej, trzeźwiej, bo miała dość przykładów przed oczami. Zaś przede wszystkim inaczej patrzą Churchill i Roosevelt. To jest ogromną pociechą.

Trzeba więc mieć nadzieję, że po tej wojnie nikt złudzeń mieć nie będzie i że pokój nie zostanie przegrany. My jednak musimy bacznie zwracać uwagę na to, co się w koło nas dzieje. Cała umiejętna robota emigrantów niemieckich, działających w kierunku uosobienia odpowiedzialności za wojnę i jej okropności w Hitlerze, musi być przez nas demaskowana i spotykać się z naszym przeciwdziałaniem. Inaczej możemy znaleźć się w ciężkim położeniu człowieka, który utracił wspólny język ze swymi przyjaciółmi i z tego powodu ponosić musi różne krzywdy, bez możności bronienia się przed nimi.

Musimy także liczyć się z czcicielami faktów dokonanych, którzy gotowi są proponować uznanie przesiedleń ludności, w imię uporządkowania w ten sposób granic i spraw mniejszości narodowych. Ci spotkać muszą na każdym kroku nasz zdecydowany sprzeciw. Nie może być po tej wojnie faktów dokonanych, chyba —zgon milionów ludzi i odpowiedzialność za ten zgon. Tylko z tego faktu dokonanego wyciągać bedziemy konsekwencje. Inne fakty dokonane przekreślone być muszą w imię elementarnej sprawiedliwości i moralności w stosunkach międzynarodowych. Jak nie wolno po zbójecku zabrać komuś mienia i tłumaczyć sie potem tym, iż się tego mienia potrzebowało, tak samo nie wolno instynktów grabieżczych, prainstynktów germańskich, uzasadniać koniecznościami życiowymi narodu niemieckiego. Są to rzeczy tak oczywiste, iż nie wymagały by powtarzania, gdyby nie to, że spodziewać sie trzeba wytoczenia w chwili zakończenia wojny tych właśnie argumentów, kto wie, czy nie przez dzisiejszych przeciwników Hitlera.

Bedą też inni, którzy wystąpią z propozycją, aby Polska stała się słabą i ambicjonowała się do stanowiska jednego ze stanów w wielkich Stanach Zjednoczonych Europy. Cóż powiedzieć takim projektodawcom, po doktrynersku proponującym nam zrzeczenie się dążności narodowych?

Cała ta wojna rozpętana została właśnie na tle ambicyj narodowych, a nie klasowych i nie gospodarczych. Ostrze jej uderza nas właśnie pod względem narodowym najdotkliwiej. Czy nie jest wielkim brakiem zorientowania, żeby tego nie określić inaczej, iść do nas w tej chwili z taką doktryną? Dowodzi to zupełnego niezrozumienia naszego charakteru narodowego, niewżycia się w cierpienie narodu polskiego. Cierpimy jako jednostki czy rodziny, cierpimy, jak wszyscy ludzie podczas wojny, ale cierpimy najwięcej i przede wszystkim, jako naród. Dziś nie wolno podchodzić do nas z takimi propozycjami, bo to nas obraża.

Gdy odzyskamy wolność, wtedy będziemy mogli zastanawiać się nad zrzeczeniem się części naszych suwerennych praw na rzecz takiego czy innego ugrupowania, które nam odpowiadać będzie. Tymczasem zaś lepiej nie dotykać bolesnych dla nas spraw, jeśli się ma takt i choć trochę zrozumienia dla Polski, walczącej o swoją niezawisłość od tylu pokoleń.

Rząd nasz dowiódł już całkowitego zrozumienia sytuacji i jej potrzeb, zapoczątkowując naszą przyszłą federację z Czechosłowacją, dając posłuch każdej możliwości, która by ułatwiała sąsiedzkie sprawy i stanowiła podstawę mocy. Pod tym względem władze polskie w Londynie idą wyraźnie inną drogą, niż ich poprzednicy. Gdy bowiem tamci mało lub po niewczasie dbali o stworzenie silnego zgrupowania narodów, połączonych wspólnymi interesami, tutaj rzuca się podwalinę pod bliskie porozumienie narodów Europy Środkowej.

To jest polityka realna, dalekowzroczna i konstruktywna, nie żadna doktryna międzynarodowa. Sąsiedzi między sobą porozumieją się, bowiem życie dowiodło im, że brak porozumienia—to śmierć. W ten sposób, da Bóg, odpadną od razu pomysły dzielenia Europy na mocarstwa i małe narody; w ten sposób groźny wróg pokoju światowego obsadzony zostanie taką wartą, która nie pozwoli mu na nowe mącenie i nowe zbrodnie.

Czy z czasem z tego wszystkiego nie wyniknie próba ściślejszego połączenia się wszystkich ludów świata w jeden nie przecięty żadnymi granicami organizm polityczny, tego przesądzać nie można. Dziś można tylko stwierdzić, że nie czas o tym myśleć, gdy jedyną sprawą jest pokonanie i unieszkodliwienie wspólnego wroga.

11 listopad pozostanie dla nas zawsze znamienna datą i serdecznym świętem, mimo wlokących się za nim błędów, które wciągnęły nas w dzisiejsze położenie. Natomiast jego następca, dzień, oznaczający szczęśliwy koniec tej wojny, może się stać świętem jeszcze większym, o ile istotnie zapewni ludzkości pokój, braterstwo i zgodę "równych z równymi i wolnych z wolnymi".

Potrzeba na to jednak, aby znikła psychika gangsterska i aby winowajcy dzisiejszej wojny dowiedli należytą pokutą, iż poddają się zasadom etyki międzynarodowej i zwalczyli w sobie naturę wilka, wypadającego z jaskini po zdobycz. Czy to w ogóle możliwe—czas pokaże.

Antoni Bogusławski

Meksyk w obozie Sprzymierzonych

NOWY SOJUSZNIK

Stosunki dyplomatyczne między Wielką Brytanią a Meksykiem, zerwane w roku 1937, zostały z powrotem nawiązane. Tym samym usunięto ostatnią przeszkodę do pełnej współpracy Meksyku z demokracjami zachodnimi.

Wiele plotek krąży dookoła Meksyku i ostatnich jego rządów, wiele nieścisłości przedostało się na ramy prasy. Jeden z autorów w "Wiadomościach Polskich" pisał nawet o "bolszewickim" Meksyku. Warto więc może dać pobieżny zarys charakteru tego państwa, które zupełnie niewątpliwie jest naszym sprzymierzeńcem.

Historia Meksyku jest istotnie od wieku z górą, od chwili gdy Meksyk zrzucił jarzmo hiszpańskie niezwykle burzliwa. Dwa razy był cesarstwem, przyczem pierwszym cesarzem był meksykański jenerał Iturbide, a drugim austriacki arcyksiąże, brat Franciszka Józefa. Meksyk przechodził nieskończoną ilość rewolucji. Stany Zjednoczone w roku 1846, w wojnie, będącej zdaniem historyków amerykańskich czarną plamą w historii Stanów, zdobyły na Meksyku—bezsilnym wobec ich przemocy—Kalifornię i Nowy Meksyk. Obecnie jednak Meksyk jest niewątpliwie jednym z najbardziej postępowych i najsolidniej zorganizowanych państw Ameryki Łacińskiej.

SKŁAD NARODOWOŚCIOWY

Ażeby sobie zdać sprawę z istoty stosunków meksykańskich trzeba sobie przede wszystkim uświadomić jego skład narodowościowy. Trzy są elementy składowe narodu meksykańskiego. Pierwszy—to cienka warstwa czystej krwi Hiszpanów. Ci potomkowie zdobywców mieli w ręku całe bogactwo Meksyku, byli posiadaczami olbrzymich posiadłości, byli przez wiek cały warstwą rządzącą. Olbrzymią większość ludności natomiast stanowią tubylcy — czerwonoskórzy potomkowie Azteków, Mayów, Indian Guarani, mówiący dziś jeszcze językiem swych przodków. Byli oni pozbawieni prawie wszystkich praw, nie mieli szkół, i byli, czy to jako robotnicy rolni, "*peoni,*" czy też jako robotnicy w kopalniach wyzyskiwani w sposób nieludzki. Peon niewiele różni się od średniowiecznego chłopa niewolnika.

Po miastach wreszcie wzrastała powoli w wpływy i znaczenie grupa metysów — mieszańców — pracująca w rzemiośle i handlu i coraz bardziej opanowująca wolne zawody. Ci metysi, żądający dla siebie równouprawnienia społecznego, żądający praw dla masy indiańskiej, z którą czuli się związani, byli fermentem rewolucyjnym. Juarez — wódz republikanów, który pobił wojska francuskie i kazał rozstrzelać ofiarę ambicji Napoleona III—cesarza Maksymiliana—był metysem. I rewolucja 1910 roku, która obaliła dyktaturę Diaza, i od której zaczyna się historia Meksyku współczesnego, była przede wszystkim rewolucją metysów i Indian, przeciw panującej kaście hiszpańskiej.

OD REWOLUCJI DO REWOLUCJI

Republika Juareza była bowiem krótkotrwała. Spory wewnętrzne i rewolucje nękały ją ciągle. I gdy w roku 1877 jenerał Porfirio Diaz objął prezydenturę i zaczął żelazną ręką sprawować rządy dyktatorskie, nie tylko Stany Zjednoczone i Europa przywitały to z zadowoleniem, ale i w samym Meksyku wielu odetchnęło w nadziei, że rządy przynajmniej przyniosą porządek. "Porządek" zapanował istotnie. Nawet gospodarczo Meksyk się podniósł. Diaz bowiem potrafił bardzo umiejętnie spieniężyć koncesje naftowe, w momencie, gdy nafta poczęła nabierać znaczenia.

Złoto zaczęło napływać do Meksyku. Tylko że to złoto szło do kieszeni Diaza i jego wspólników, lud meksykański zaś nadal cierpiał nędzę najstraszliwszą. I gdy Diaz się zestarzał, gdy jego żelazna ręka osłabła, nastąpiła nowa udana rewolucja. Przywódcą tej rewolucji był jeden z najszlachetniejszych Meksykańczyków, szczery idealista i prawdziwy demokrata — Francisco Madero. Reformy Madery nie przypadły jednak do gustu tym, co mieli wpływy gospodarcze w Meksyku, i już w 1913 roku Madero został zamordowany i władzę objął typowy kondotier—jenerał Huerta, skwapliwie uznany przez rządy Europy.

I Huerta jednak nie potrafił się utrzymać. Jako mściciele Madery powstali na północy Carranza i Villa, przywódca partyzantów, najbardziej może kolorowa postać rewolucji meksykańskiej (czy pamiętacie z Warszawy świetny zresztą film amerykański: Viva Villa?) Huerta musiał uciekać do Europy już w roku 1914. Potem nastąpiły walki między Carranzą a Villą, w których Carranza zwyciężył.

Przyszła wojna światowa, w której Niemcy korzystając z zadawnionej nienawiści Meksyku do Stanów, próbowały stworzyć sobie w Meksyku bazę przeciwko Stanom. Wykrycie tej intrygi walnie przyczyniło się do wejścia Stanów Zjednoczonych do wojny.

STOSUNEK STANÓW

W ogóle polityka Stanów w stosunku do Meksyku nadal była niejasna. Silne wpływy pchały do dalszych zaborów upozorowanych ciągłymi niepokojami wewnętrznymi. Wilson nie mógł się zdecydować na to, ale nie potrafił też zdobyć się na politykę przyjazną względem Meksyku. Tak na przykład postawił on veto przeciw przyjęciu Meksyku do Ligi Narodów i Meksyk został członkiem Ligi dopiero w momencie, gdy Roosevelt przestawił politykę Stanów na politykę dobrosąsiedzką względem krajów Ameryki Łacińskiej.

Powoli jednak Meksyk począł się ustalać. Począł krzepnąć —w przeciwieństwie do innych krajów Ameryki Łacińskiej— jako państwo indiańskie, począł nawiązywać do tradycji Azteków i Majów. Język hiszpański pozostał coprawda językiem urzędowym, językiem literackim, językiem uniwersytetów i przede wszystkim *lingua franca* dla różnych szczepów, mówiących różnymi językami (podobnie, jak język angielski jest *lingua franca* w Indiach). Ale w szkołach początkowych wykłady zaczęły być prowadzone w językach indiańskich; jest dążność do rozwinięcia ich w języki literackie. I podczas kiedy każdy Chilijczyk czy Boliwijczyk z oburzeniem odeprze twierdzenie, że w żyłach jego nie płynie czysta krew hiszpańska, każdy Meksykańczyk — nawet jeżeli jest czystej krwi białym— będzie zapewniał, że pochodzi od Indian.

REFORMY SPOŁECZNE

Z tego indiańskiego charakteru państwa wypłynęły z konieczności następstwa społeczne. Meksyk stał się państwem najdalej posuniętych reform. Zaczęło się od rozbicia wielkiej własności ziemskiej i oddania ziemi peonom. I na tym tle nastąpił zatarg z Kościołem Katolickim, co najwięcej się przyczyniło do popsucia Meksykowi opinii na Zachodzie.

Kościół bowiem nie tylko w swej hierarchii był jedną z głównych podpór hiszpańskości, ale był także jednym z największych właścicieli ziemskich. Hierarchia kościelna była więc podobnie jak później w Hiszpanii wybitnie niechętna poczynaniom republikańskim. Prezydent Meksyku na przełomie trzeciego dziesiątku lat, jenerał Plutarco Calles, był swoją drogą brutalem o skłonnościach dyktatorskich, i nie cofnął się przed istotnym i bezpośrednim prześladowaniem nie tylko Kościoła ale wprost religii katolickiej. Jednak już za rządów prezydenta Cardenasa (1935-1939) o prześladowaniu Kościoła nie mogło być mowy. Obecny zaś prezydent Avila Camacho dąży zdaje się do wyrównania stosunków państwa z Kościołem.

Rządy Cardenasa były rządami socjalistycznymi. Szarą eminencją tych rządów był sekretarz jeneralny meksykańskich związków zawodowych człowiek o bardzo wybitnej osobowości—Lombardo Toledano. Koleje, kopalnie srebra zostały wywłaszczone i oddane w ręce syndykatów. Zaś w roku 1937, gdy kopalnie nafty (będące w rękach dwóch syndykatów, amerykańskiego *Standard Oil* i angielskiego *Royal Dutch*) odmówiły zastosowania nowych przepisów o płacy i opiece społecznej, tłumacząc się, że to uniemożliwiło by prowadzenie kopalń bez strat, rząd meksykański i te kopalnie wywłaszczył, ofiarowując odszkodowanie, które *Royal Dutch* i *Standard Oil* odrzuciły, jako niewystarczające. Gdy rząd meksykański nie chciał ustąpić twierdząc, że odszkodowanie zostało określone zgodnie z ustawami meksykańskimi przez właściwe urzędy sądowe, rząd Chamberlaina zerwał stosunki z Meksykiem.

Mówiliśmy, że rządy Cardenasa były socjalistyczne. O "bolszewickim" Meksyku jednak mówić nie można. Mniejsza o to, że w Lidze Narodów Meksyk zachował się pierwszorzędnie. Mimo, że jest on krajem wywożącym naftę motorem sankcji naftowej w epoce wojny etiopskiej był delegat meksykański, Marte Gomez. Gdy zaś uchwalono zniesienie sankcji, Gomez na znak protestu opuścił Zgromadzenie Ligi.

GRANICE SOCJALIZMU MEKSYKAŃSKIEGO

Ale socjalizm meksykański nie równa się upaństwowieniu. Wywłaszczone objekty przemysłowe nie przechodzą na własność państwa, ale na własność związków danego przemysłu, obejmujących wszystkich pracowników od naczelnego dyrektora do najniższego robotnika. Podczas gdy w Rosji syndykaty są jedynie organem państwowym, w Meksyku są one zupełnie samodzielne i odgrywają nawet wielką rolę polityczną. Meksyk nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych z ZSRR i dał schronienie Leonowi Trockiemu, co dla państwa będącego pod wpływami bolszewickimi byłoby nie do pomyślenia. Lecz co najważniejsze, Meksyk ukazał prawdziwe swe oblicze podczas wojny obecnej.

Wiadomo przecież, że do chwili napadu na Rosję, komunizm nakazywał wszędzie zwalczanie obecnej wojny jako wojny zaborczej i raczej sympatię dla Niemiec, niż dla demokracji. Wiemy, że w Stanach Zjednoczonych komuniści łącznie z hitlerowcami prowadzili agitację strajkową. Meksyk natomiast od początku stanął po stronie demokracji. Nie sprzedawał nafty Niemcom ani Włochom, chociaż i Anglia i Stany Zjednoczone konsekwentnie bojkotowały naftę meksykańską, chcąc w ten sposób zmusić Meksyk do ustępstw. Jeśli zaś idzie o Polskę, rząd Cardenasa nigdy nie uznał jej rozbioru i nie szczędził objawów życzliwości.

PRZEGRANA MEKSYKAŃSKIEJ V-EJ KOLUMNY

To też, gdy w roku 1939 doszło do nowych wyborów, falangiści hiszpańscy będący w Meksyku najsilniejszą ekspozyturą piątej kolumny, komuniści i ajenci faszystowscy starali się zgodnie nie dopuścić do wyboru kandydata Cardenasa—obecnego prezydenta Avila Camacho. Nie udało im się. Przegrali wybory, przegrali próbę puczu. Camacho zaś—hamując tempo reform społecznych, ze względu na niebezpieczeństwo wojenne — jeszcze mocniej podkreślił chęć współpracy ze sprzymierzeńcami. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Stany Zjednoczone mają dziś na swej południowej granicy nie przyczajonego wroga, jak w roku 1917, ale zupełnie pewnego sprzymierzeńca.

Roosevelt wyciągnął z tego wnioski. Sprawę wywłaszczenia *Standard Oil* załatwiono polubownie.

Anglia tak daleko nie poszła. Sprawa *Royal Dutch* pozostała w zawieszeniu. Ale drzwi poselstwa meksykańskiego w Londynie i poselstwa brytyjskiego w Meksyku otworzyły się z powrotem. Zjawił się w naszym obozie przedstawiciel nowego sprzymierzeńca.

Michał Prozor

Szkic sytuacyjny

ROSTÓW I KAUKAZ

Obrona Rostowa jest już bodaj w pełnej akcji i położenie tego miasta nie jest napewno łatwe. Utrata jego będzie poważna, chociaż jest rzeczą jasną, że produkcja ośrodka, który znajduje się pod ogniem artyleryjskim oraz pod silnymi atakami z powietrza, nie może być wielka. Nawet jeżeli produkcja Rostowa była utrzymana /oczywiście w skali zmniejszonej/ do dni ostatnich—tak jak produkcja Charkowa—to jednakże możność przerzucenia jej do tyłu, musiała stać pod znakiem zapytania. Nie wiemy, czy Leningrad ma możność produkowania dalej, czy też i jego produkcja wygasa. Okręg moskiewski jest również w ogniu, a więc i produkcja tego okręgu musi się kurczyć gwałtownie.

Uderzenie na Krym, które czyni postępy i poszerzanie niemieckiej "wyrwy" /*gap*/ sprawia, że Kaukaz może znaleść się już niedługo w niebezpieczeństwie. Przypuszcza się, że Niemcy dokonają uderzenia z półwyspu Kercz — leżącego naprzeciwko Noworosyjska i Krasnodaru na Kaukazie—właśnie w stronę Kaukazu. Jest to bardzo waska przeprawa, która przenosi wojska najeźdźcy od razu w sedno Kaukazu. Akcja niemiecka przybrałaby tu formę ataku na Krecie, ale napewno nie będzie ona tak łatwa, albowiem pogotowie sowieckie musi być znacznie lepsze, aniżeli pogotowie obrońców Krety.

MOSKWA BRONI SIĘ

Front pod Moskwą stanął. Jest to fakt wysoce pocieszający. Dowodzi to, że zarówno Żukow okazuje się dobrym dowódcą jak i to, że ofensywa niemiecka wyczerpała swój rozmach. Niemcy muszą organizować nowe uderzenie, co zabierze im znowu jakieś 10 do 14 dni czasu.

Obrona Moskwy jest pocieszająca jeszcze i dlatego, że dowodzi ona, iż niemieckie obcęgi założone poprzednio okazały się *za płytkie*. Dlatego Niemcy zaczynają pogłębiać swoje zagony pancerne, starając się osaczyć armie pod Moskwą przez Tułę. Jest to zabieg kosztowny i długi. Nowa akcja niemiecka rozwija się już wolniej, albowiem *czynnik pogody* —błoto i zawieje—zaczyna grać rolę. Jest jasne, że pierwsze tygodnie *oswojenia się z nowymi warunkami* wpłyną na osłabienie tempa.

Niemcy starają się zaradzić temu wszystkiemu przez rzucanie dziesiątek tysęcy *Volkswagen*, owych VW, które budowano w sekrecie, a które miały ucieszyć obywatela Rzeszy już w r. 1940, za cenę 1000 mk. Obywatel nie zobaczył tych doskonałych wózków, o wysoko umieszczonym podwoziu /a zatem nieodpowiednich na autostrady Rzeszy/, natomiast żołnierze niemieccy ujeżdżają w tych wózkach na wszystkie strony. Rozjeżdża się także potężny korpus cywilów, *tzw. NSKK*, który przed wojną liczył już 500,000. Byli to przeszkoleni kierowcy, właściwie wszyscy posiadacze wozów w Niemczech w wieku od 30 do 45 lat. Do tego dołącza się tzw. *organizacja Todta*, która skupia korpus pionierów i inżynierów. Oni to działają nader sprawnie przy naprawie dróg, mostów, kolei.

Pomimo tych niezmiernych wysiłków niemieckich, Moskwa się broni. Harry Hopkins, osobisty doradca Roosevelta, po odwiedzinach w Moskwie, pisze na łamach jednego z magazynów amerykańskich, że obrona Moskwy jest doskonała i że "obrona przeciwlotnicza Moskwy usuwa w cień obronę Londynu. W Moskwie nie można bezkarnie stać na dachu i oglądać nalot. . . . Każdy taki śmiałek byłby dokładnie pokiereszowany przez odłamki, sypiące się nieustannym deszczem."

Obrona Moskwy jest niezmiernie ważnym momentem i rząd sowiecki wie o tym najlepiej. Jeżeli ofensywa niemiecka nie dotarła w swojej ostatniej fali, to nie wydaje się. ażeby przed upływem dni 14-tu mogła zdobyć się na nowy szturm.

ARMIA SOWIECKA BĘDZIE WALCZYĆ

Specjalny wysłannik "*Sunday Timesa*" i biura Reutera do Moskwy, Alexander Werth, znany ze swoich książek o Francji, pisze na łamach tego pisma po swoim powrocie z Rosji: przybrałaby tu formę ataku na Krecie, ale napewno nie będzie ona tak łatwa, albowiem pogotowie sowieckie musi być znacznie lepsze aniżeli pogotowie obrońców Krety.

"Straty sowieckie w październiku w terytorium, żołnierzu i sprzęcie, muszą być nader poważne. Ale nad tym wszystkim góruje fakt, że Moskwa się trzyma i że armia sowiecka opiera się rozpaczliwie w osłonie Rostowa. *Hitlerowi nie powiodło się rozgromienie armii sowieckich.* Dopóki to żadanie mu się nie udaje, kampania jego jest niepowodzeniem /*a failure*/ a zdolność sowiecka do odnowienia swoich sił /*recuperation*/ w czasie miesięcy zimowych pozostaje niezmiernie *doniosłym* czynnikiem."

Jest to ujęcie sprawiedliwe. To właśnie jest najważniejsze w tej kampanii: wymknąć się z żywą siłą, zdolną do akcji, utrzymać ją, zasilać, odbudowywać. Rosja ma na to dosyć przestrzeni. Chodzi o to, ażeby grała nie tylko przestrzeń, ale także *wola i umiejętność*.

OFENSYWA POKOJOWA ZACZYNA SIĘ

Wielokrotnie na tych łamach wspominałem o czynniku, który musi wejść w skład każdych rozważań strategiczno-politycznych: akcji pokojowej, pokusach pokoju. Tego rodzaju akcje istniały w czasie wojny ostatniej —tylko, że były one lepiej ukryte—istnieją także w dobie tej wojny. Nowa akcja niemiecka kierowana jest, jak podkreślałem, przez liczne kanały. Raz zatem odzywa się Hiszpania, to znowu Pétain, to wyrywa się premier Finlandii, to zaczynają się pogłoski o życzeniach Watykanu. Obecnie na widowni zjawił się nowy czynnik: *Turcja*.

Oto prezydent turecki Ineunu na otwarciu sesji parlamentu tureckiego, dnia 1-go listopada w Ankarze wyraźnie zaznaczył, że Turcja gotowa jest być pośrednikiem między stronami walczącymi. Było to najwyraźniejsze ze wszystkich dotychczasowych oświadczeń pokojowych jakie złożono. Pétain złożył swoje oświadczenie pod adresem Stanów Zjd. w wywiadzie prasowym, Tanner, premier fiński, w mowie radiowej, Hiszpania czyniła to półgębkiem. Obecnie Turcja, mając na swoich granicach już niejako wojnę—a w każdym razie przez wodę, może niebawem przez góry—wyrywa się z pośrednictwem pokojowym.

Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju akcja turecka jest wynikiem rozmów, jakie toczył prez. Ineunu z ambasadorem niemieckim *von Papenem*. Nacisk niemiecki na Turcję jest oczywisty. Von Papen szwęda się tam co raz wyraźniej i co raz czelniej.

Rola, jaką spełnia Turcja nie jest, powiedzmy to szczerze—najzaszczytniejsza. Kieruje nią obawa, lęk przed atakiem. Są to motywy całkiem ludzkie, ale nie wróżą one dobrze dla gotowości bojowej samej Turcji. Jest to też *wątpliwa usługa* w stosunku do własnego sprzymierzeńca—Anglii. Londyn oczekiwał napewno czegoś więcej od Turcji, aniżeli pośrednictwa pokojowego, które *odrzucić musi*.

Londyn, 2 listopada 1941.

Zbigniew Grabowski

Przebieg ofensywy niemieckiej

W piątym miesiącu wojny, prowadzonej z nieznanym w historii natężeniem, ofensywa niemiecka w Rosji, z pewnymi przerwami, trwa nadal.

Pomimo całego szeregu wygranych w pięknym stylu bitew i sukcesów niemieckich na wielką skalę, armia niemiecka nie osiągnęła dotąd swojego celu zasadniczego—rozbicia armii czerwonej. Niewątpliwie armia ta poniosła olbrzymie straty w ludziach i materiale. Szczególnie armia Budiennego a zwłaszcza część jego sił w rejonie Kijowa. Również i armia Woroszyłowa, uwiązana w przeważnej części swoich sił w Leningradzie, przestaje być elementem manewru.

Jednakże zapowiadany tylokrotnie przez propagandę niemiecką i oczekiwany z jeszcze większym naprężeniem przez niemiecki Sztab Generalny rozkład armii czerwonej—nie nastąpił. Jej organizm, aparat dowodzenia, a przede wszystkim morale nie zostały rozbite . . .

Jeżeli przypomnieć szok moralny armii francuskiej po przełamaniu Sommy lub Aisne'y, już nie mówiąc o rozpadzie armii Corapa, lub też zdezorganizowanie polskiego aparatu dowodzenia już na trzeci dzień wojny, to dotychczasowe osiągnięcia niemieckie, aczkolwiek gigantyczne pod względem terytorialnym i wojskowym, są jeszcze bezwzględnie dalekie od tego celu, który w "wojnie absolutnej" Clausewitz nazywa—rozbiciem przeciwnika.

Każda z wygranych bitew niemieckich jak np. pod Białymstokiem, Mińskiem, Umaniem, Żytomierzem i t.d., która miała być tą zasadniczą, i upragnioną "*Vernichtungsschlacht*" (bitwą niszczącą)—stawała się tylko jeszcze jednym epizodem. W mniej więcej podobny sposób, armia japońska, uwikłana od 1937 w tak zwany "incyndent chiński" odniosła w Chinach cały szereg pięknych sukcesów, zdobyła olbrzymie połacie kraju, ale nie osiągnęła rozstrzygającego zwycięstwa. Porównanie to jest oczywicie słuszne tylko częściowo, a to już chociażby dlatego, że forma walki i jej natężenie są zupełnie odmienne od kampanii na froncie rosyjskim.

Powyższe rozważania natury ogólnej należy mieć na uwadze przy rozpatrywaniu nowej ofensywy niemieckiej v. Bocka na Moskwę. Jeżeli idzie o dalszy ciąg ofensywy marszałka Rundstedta na Ukrainie, to ma ona podłoże i cele dość różnolite.

OFENSYWA v. BOCKA

W pierwszych dniach października fanfary propagandy niemieckiej oznajmiły światu decyzję Hitlera wydania "jeszcze w tym roku ostatniej decydującej bitwy." W tym czasie ofensywa wojsk marszałka v. Bocka była już w toku.

Znając doktrynę niemiecką i klasyczne zasady niemieckiej strategii, już na podstawie pierwszych działań można było wystąpić z przypuszczeniem, że myślą działania v. Bocka będzie przeprowadzenie wielkiego manewru kleszczowego, na północy na kierunku: Rdzew-Kalinin, a na południu: Briańsk-Orieł, aby zamknąć oba ramiona kleszczy na wschód od Moskwy.

W wyniku tego manewru armia marszałka Timoszenki, prowadząca od paru tygodni skuteczną kontrofensywę frontalną miała być otoczona i zniszczona. Pobicie tej armii, która, pomimo dość dużych strat pod Białymstokiem i Mińskiem, zdolna jeszcze była do odparcia zagonu pancernego Guderiana oraz energicznej kontrofensywy, pociągnęłoby automatycznie upadek Moskwy.

Marszałek Timoszenko walcząc od końca września w rejonie Smoleńska, odciążył do pewnego stopnia trudną sytuację swoich sąsiadów, a w szczególności Budiennego. Tym nie mniej można zaryzykować pogląd, że odciążenie to byłoby o wiele większe, gdyby Timoszenko nie działał w kierunku zachodnim lecz na lewe skrzydło Rundstedta, idące w tym czasie w stronę Charkowa.

W danym wypadku nasuwa się podobieństwo z rolą a raczej pewną bezczynnością Armii Poznańskiej generała Kutrzeby który mógł był zagrozić prawej flance armii gen. Kluge, działającej przeciwko armii Bortnowskiego, lub też tyłom armii Blaskowitza.

Nacierając frontalnie, Timoszenko wydłużał i podstawiał pod przyszłe uderzenie swoje oba skrzydła i właśnie na te skrzydła marszałek v. Bock skierował atak. Być może, iż v. Bock wciąga umyślnie Timoszenkę na zachód, podobnie jak w moju 1940, v. Brauchitsch wciągał wojska francusko-brytyjskie, głęboko do Belgii i Holandii. Szybkość posuwania się ich w kierunku wschodnim wedle wyrażenia komunikatów francuskich "*a dépassé l'horaire*" (przekroczyła plan). W tym czasie, po przełamaniu frontu pod Sedanem armia pancerna Reichenau'a parła na zachód, przeskrzydlając z każdym dniem wojska Aliantów.

W okresie pomiędzy 10 a 18 października rozgrywają się dwie olbrzymie bitwy: jedna w rejonie Wiazmia-Rosław a druga w rejonie Briańsk-Orieł. Trudno oczywiście z całym zaufaniem przyjmować do wiadomości komunikaty niemieckie, donoszące o zniszczeniu w ogólnym rejonie Wiazmia-Briańsk około 70 dywizji sowieckich, tym nie mniej, oczywiście straty sowieckie musiały być bardzo poważne.

W wyniku tych strat i potężnego naporu wojsk niemieckich, wzmocnionych odwodami v. Leeba, Timoszenko z trudem zdołał wycofać swoje oddziały z sytuacji, która tym razem zapowiadała się jako upragniona przez Niemców "*Vernichtungsschlacht.*" Oparł się on skrzydłami o Kalinin i Orieł, cofając się frontalnie aż pod Moskwę na linię Możajsk-Małojarosławiec.

Przybyłe z Dalekiego Wschodu oddziały sowieckie w dużym stopniu przyczyniły się do uratowania zarówno Moskwy jak i całego frontu środkowego. W wyniku całego szeregu kontrakcji wojsk sowieckich, zarówno na skrzydłach, szczególnie w Kalininie, jak i w centrum, sytuacja, pomimo nowych wysiłków niemieckich i nowych odwodów w formie wojsk rumuńskich i fińskich, zaczyna się powoli ustalać. Każdy dzień walk na tym odcinku gra na korzyść armii czerwonej a w szczególności obrońców Moskwy.

Niewątpliwie, nawet gdyby Niemcom udało się zdobyć Moskwę, co z każdym dniem wydaje się co raz mniej prawdopodobne, to efekt tego zwycięstwa, zarówno psychologiczny, jak i polityczny byłby już niepomiernie mniejszy, niż gdyby to nastąpiło zgodnie z zamiarami niemieckimi. Biorąc pod uwagę niesłabnące morale jej obrońców, walka o Moskwę zamienić się może, podobnie jak i walka o Leningrad, w mozolne i krwawe oblężenie.

Tego rodzaju forma walki w najwyższym stopniu nie odpowiada zarówno celom niemieckim, jak i ich doktrynie wojennej, hołdującej wojnie ruchowej.

OFENSYWA v. RUNDSTEDTA

O ile sytuacja na kierunku moskiewskim, wskutek wejścia do akcji odwodów sowieckich uległa pewnemu ustaleniu, o tyle na Ukrainie, sytuacja nadal rozwija się dość niepomyślnie.

Już na początku października, w czasie ofensywy, prowadzonej równolegle z ofensywą v. Bocka, sowieckie armie 9 i 18 poniosły bardzo dotkliwe straty pod Melitopolem. Jedynie pod Taganrogiem grupa pancerna v. Kleista napotkała na poważniejszy opór. Jednocześnie po bardzo zaciętych i trwających parę tygodni walkach, lewe skrzydło v. Rundstedta zdobywa stolicę Zagłębia Donieckiego, Charków.

Dla ratowania krytycznej sytuacji na miejsce Budiennego został mianowany Timoszenko, zaś Budienny otrzymał inne zadanie—tworzenia nowych wielkich jednostek, w szczególności kawalerii. Sowiety posiadają około 40 dywizji kawalerii, z których zaledwie kilka zostało użytych w czasie dotychczasowych walk. Można przypuszczać, że ta broń z chwilą opadów śnieżnych, które w dużym stopniu unieruchomią motory, może odegrać jeszcze niezmiernie poważną rolę w zbliżającej się kampanii zimowej.

Timoszenko ma narazie zadanie zorganizowania linii obronnej na rz. Don, która ma być przeszkodą o wiele trudniejszą aniżeli Dniepr, oraz przygotowania obrony na linii dolnej Wołgi. Musi on też troszczyć się o zorganizowanie obrony Kaukazu, który jest jednym z celów zasadniczych ofensywy niemieckiej, a na którym zapewne jest przygotowana oddawna V-a kolumna.

Wobec wielkiej umiejętności Niemców w forsowaniu rzek, jak to wykazały dotychczasowe doświadczenia, nie należy się zbytnio łudzić, aby zapory wodne mogły być przeszkodami, na których załamie się impet ofensywy niemieckiej. Jednocześnie w razie dalszego ustabilizowania się frontu pod Moskwą, front południowy stanie się bez wątpienia głównym kierunkiem ofensywy niemieckiej, prowadzonej zresztą od samego początku największym zmasowaniem sił niemieckich i "alianckich," wśród których ostatnio znaleźli się Włosi i hiszpańska "Błękitna Dywizja."

Wobec nieudanych prób zdobycia Leningradu oraz utraty szans rozbicia armii Timoszenki przed Moskwą, marszałek Runstedt staje się obecnie kartą atutową w rękach Hitlera. Ma zresztą on wielki atut do wygrania: już samo sforsowanie Donu i odepchnięcie wojsk sowieckich do ujścia Wołgi może dać Niemcom cały szereg różnorakich korzyści.

W tym wypadku, jak podkreślałem w poprzednich komentarzach sytuacji na froncie sowieckim, cele niemieckie wynikają nie tylko z koncepcji "strategii absolutnej"—zniszczenia przeciwnika. Dojście do ujścia Wołgi na Morzu Kaspijskim, prócz korzyści głębokiego oskrzydlenia frontu centralnego Sowietów, odosabnia całkowicie siły rosyjskie na Kaukazie, podstawiając je pod ewentualne uderzenie lądowe od północy i operację desantową od zachodu.

Ponadto, osiągnięcie Wołgi zapewnia rozerwanie bezpośredniej łączności z armią brytyjską w Iranie, a wreszcie może utrudnić, jeżeli nie zupełnie zahamować, dopływ materiału wojennego anglo-amerykańskiego, napływającego obecnie do Zatoki Perskiej a następnie przez Rostów lub porty Morza Kaspijskiego.

Wobec poważnego zniszczenia przemysłu sowieckiego oraz trudności dostaw przez zamarzający port w Archangielsku, przecięcie dostaw z Iranu może być poważnym ciosem dla armii sowieckiej. W tym wypadku jeszcze większego znaczenia nabierze droga przez Władywostok i oczywiście jeszcze bardziej wzmocni się niemiecki nacisk polityczny na Japonię, celem zmiany jej dotychczasowej "*non-belligerence*" na akcję czynną przeciwko Sowietom.

Cel zdobycia Kaukazu, jako źródła nafty, nie wydaje się zbyt konkretny, gdyż bolszewicy, którzy nie zawahali się zniszczyć Dnieprostroju, zniszczą źródła naftowe i rafinerie tak dokładnie, że trzeba będzie paru miesięcy dla ich ponownego uruchomienia. Natomiast zdobycie Kaukazu może mieć znaczenie polityczne: spowoduje okrążenie Turcji i wzmożenie na nią nacisku politycznego.

Oto są liczne cele, rozważane zapewne w kwaterze polowej Führera, gdy otrzymuje on meldunki o postępach ofensywy Rundstedta.

Narazie jednak niemieckie dywizje za dywizją rzucane są w kierunku Rostowa, aby zapewnić jego zdobycie i utworzenie przyczółka mostowego na wschodnim brzegu, a ponadto też i poto, aby nie dopuścić do jeszcze jednej stabilizacji frontu i utrzymać wojnę manewrową.

OBLĘŻENIE LENINGRADU

Komentarz sytuacji na froncie sowieckim nie byłby pełny bez omówienia w paru słowach sytuacji w rejonie Leningradu.

Otóż od paru tygodni—od chwili rozpoczęcia ofensywy v. Bocka—front północny stał się odcinkiem o charakterze drugorzędnym, cel zdobycia Leningradu ustąpił na plan drugi, wobec celu rozbicia żywej siły przeciwnika. Większość odwodów v. Leeba została użyta do wzmocnienia armii v. Bocka.

Na skutek zmniejszonego naporu niemieckiego wzmogła się z jednej strony działalność oblężonych sił sowieckich a z drugiej strony części sił Woroszyłowa, które z rejonu Wzgórz Wałdajskich usiłowały niepokoić prawą flankę v. Leeba, oblęgającego Leningrad. Te siły sowieckie zdołały ostatnio osiągnąć Kholm i Velje na zachód od Bołogoje.

Niewątpliwie, o ile by Sowiety posiadały obecnie wolne odwody, mogłyby je z dużym powodzeniem użyć na flance osłabionych i zużytych sił v. Leeba. Sukces ten mógłby poważnie odbić się na całokształcie sytuacji frontu. Jednak krytyczna sytuacja na południu pochłania wszystkie odwody sowieckie, pozbawiając dowództwo sowieckie inicjatywy i swobody manewru.

NASZ STOSUNEK DO KAMPANII SOWIECKIEJ

Komentarz powyższy opracowany zupełnie beznamiętnie i ze spokojem obserwatora, ma między innymi na celu rozproszenie zbyt pohopnego i łatwego pesymizmu, który wytworzył się ostatnio na skutek rozwoju sytuacji operacyjnej w Rosji.

Na wytworzenie się tego pesymizmu wpłynęły w dużym stopniu komunikaty i radio niemieckie, wyolbrzymiające własne sukcesy oraz straty armii sowieckiej. Celem tej propagandy, prócz podniesienia ducha narodu niemieckiego, jest poderwanie na Zachodzie wiary w dalszy i skuteczny opór Rosji Sowieckiej, a w konsekwencji poddanie w ogóle w wątpliwość celowości dalszej pomocy materiałowej dla armii sowieckiej.

Pesymizm i brak zaufania w dalszy opór oraz wartość armii sowieckiej—oto broń, którą w zręczny sposób walczy propaganda niemiecka, wykonując dyrektywy niemieckiego Sztabu Generalnego, aby powstrzymać dalszy dopływ materiału wojennego dla Rosji oraz poderwać rozwijającą się współpracę z nowym sojusznikiem. Robota ta zmierza do odosobnienia Rosji, która zgodnie z ustaloną praktyką i doświadczeniami strategii i polityki niemieckiej, ma stać się celem odosobnionym—"*beschränktes Ziel*"—a nie partnerem potężnej antyniemieckiej koalicji.

Wystąpienia publiczne lorda Beaverbrooka oraz Harrimana po ich powrocie z Moskwy oraz ostatnio i wystąpienie Roosevelta w sprawie Rosji i jej dalszego oporu, są rażącym kontrastem do bombastycznych wypowiedzi propagandy niemieckiej, które jednak do pewnego stopnia przyczyniają się do wytwarzania łatwego pesymizmu.

Te wszystkie momenty należałoby mieć na uwadze przy bezstronnym roztrząsaniu komunikatów wojennych obu stron walczących, z których jedna wyrokiem historii jest obecnie naszym sprzymierzeńcem.

Eugeniusz Hinterhoff

Z TOBRUKU

W nocy z dnia 11. *na* 12.X.1941 *rtm. S. jako dowódca szwadronu prowadził pluton na wypad na umocnione stanowiska nieprzyjaciela. Kiedy w ogniu ckm i moździerzy pluton zaległ, własnym przykładem go poderwał, poprowadził do natarcia, kierując akcją na poszczególne punkty oporu i likwidując je kolejno.*

W nocy z 14 *na* 15.X. *prowadził wypad szwadronu. Własnym przykładem i energią poderwał szwadron, wpadł na ogień ckm, zdobył umocnione wzgórze. rozbijając kompanię nieprzyjaciela, zadając straty i biorąc jeńców. Mając dwudziestu czterech rannych dzięki odwadze i zimnej krwi potrafił ich w ciężkim górskim terenie ewakuować i oderwać się od nieprzyjaciela.*

Dowódca Samodzielnej Brygady
Strzelców Karpackich

Za opisany czyn Naczelny Wódz dnia 28.X. *odznaczył rotmistrza S. orderem wojennym "Virtuti Militari" V. klasy.*

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

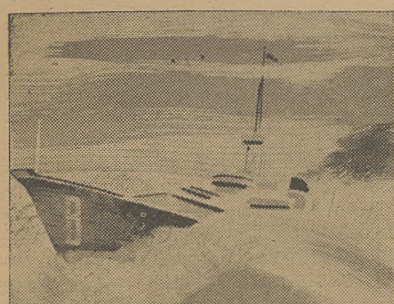
za czas od 21.X.—31.X.1941.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 13 prawdopodobnych — 6 uszkodzonych — 3	Ilość wypraw: 9	Łączna ilość samolotów: 89
	Główne cele: Brema, Emden, Hamburg, Antwerpia, Boulogne, Cherbourg, Brest, Le Havre.	

Razem od czasu przybycia do Anglii do 31.X.1941.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 399 prawdopodobnych — 109 uszkodzonych — 52 560	Ilość wypraw: 274	Łączna ilość samolotów: 1257

Ścigacz "do wszystkiego"



rys. Tadeusz Lipski

. . . przerażona wyleciała z łazienki. W stroju mocno n . . . niekompletnym . . . Nawet bez ręcznika choćby. . . . Myślała, że to "*dive-bomber.*" I później miała katar. I wszyscy wytykali ją palcami. I wyśmiewali. A to ja szedłem w górę rzeki. Tuż obok "*River-side'u*" . . . I to jakby specjalnie pod jej oknami. . . .

—*I'm very sorry, honestly* . . . że mnie nie było w pobliżu tej łazienki.

Nieznośny jestem. I w ogóle—"*naughty.*" Razem z tym swoim "*whistling* 204" . . .

204 to numer mojego okręciku. Dobrze. Ale dlaczego — "*whistling*"?

Joan tak to wyjaśniła: —

—Coś strasznie świszczy, szumi, gwiżdże i biały kurz wodny podnosi. Aha! Proszę się nie bać, nie uciekać .... włosy przygładzić /stanęły "dęba."/ To tylko M.G.B. 204 "wchodzi" do portu.

* * *

Z morza trudno jest znaleźć wejście.. Jest to bardzo wąski przesmyk pomiędzy skałami. Znam tu każdy kamyczek. Wchodzę więc na pełnym gazie. Właściwie—wlatuję do małej zatoki. Jeden z wielu naturalnych portów Wielkiej Brytanii . . . Zatoczka pełna jachtów, małych okrętów i łodzi rybackich.

Wszystko jest teraz czerwone. Prawdziwa powódź czerwieni! Rozdrgana, rozświetlona woda migocze rubinowymi błyskami. W spokojnych miejscach jest ciemna i matowa jak krew. Lśnią łodzie i jachty, pomalowane słońcem na wszystkie odcienie szkarłatu i purpury.

Skały u wejścia, niby dwie baszty starego zamczyska, odcinają się ponurymi, poszarpanymi konturami na niebie zachodu. Rozpalonym do czerwoności, zalanym krwią, wspaniałym! . . .

Spłoszone mewy, umazane jakby w czerwonej farbie, zrywają się z wrzaskiem ze skał.

Duszę manetki na dół. Dziób wysoko zadarty—jak do lotu—miękko opada.

* * *

Na pokładzie jest dużo krwi. Prawdziwej krwi—ludzkiej. . . . Mam sześciu, ciężko rannych, rozbitków z trawlera. Wyleciał na minie. Lżej rannych i zdrowych zabrał drugi trawler.

Dobijam do "*town-quay.*" Czeka doktór, dużo ludzi, sanitariusze, policjant i samochody z czerwonymi krzyżami.

Pomagamy przenosić rannych. Wszyscy. Auta ruszyły. Ludzie się rozeszli. Joan stała najdłużej. Na koniec posłała mi buziaka. Marynarze uśmiechnęli się pod wąsem. Ona zarumieniła się okropnie. Może od . . . promieni zachodzącego słońca. Po czym szybko "zwiała." Tylko jej spódniczka furkotała.

Odbiłem i stanęliśmy na bojce. Natychmiastowe pogotowie—24 godziny. Jeszcze cała noc. . . .

Pokład, choć wymyty, wciąż jest jakby skrwawiony. I czuć jeszcze krwią. Cały okręt jest czerwony. I wszystko wokół, ale to już od słońca. Widać jeszcze rąbek. . . .

Zapominam o przeżytych wzruszeniach, gdy kreśliłem kurs przez obszar, oznaczony na mapie niewinnym słówkiem: "Miny"; gdy pędziłem ku tonącemu wrakowi. Zapominam o rannych, nieszczęśliwych rozbitkach. I o tych, co zginęli. . . .

Siedzę na nadbudówce w moim ulubionym miejscu—pomiędzy tubą wentylatora i masztem. Słońce już zaszło. Jest cicho i spokojnie. Mały port rybacki, niby kotlina wśród wysokich skał, bez ruchu i hałasów. . . . Cudny jest teraz. Można by namalować śliczny obrazek p.t.: "Port rybacki po zachodzie słońca."

Artystyczną stronę mego "I" gasi z.d.o. Niby kubłem zimnej wody. . . .

—Będzie wiatr.

—Tak! Te "fajeczki" nic dobrego nie wróżą—odpowiedziałem.

Tuż nad horyzontem pełno rozrzuconych, wąskich skrawków chmurek o zakrzywionym górnym końcu. /Stąd nazwa fajeczki/. *Windwolken* — zwiastuny wiatru.

Chłopcy zapomnieli o przygodach dnia. Rozsiedli się przy kiosku. "Pepcio" gra na gitarze. Śpiewają. Oczywiście starą, żeglarską piosenkę: —

"Gdy słońce zachodzi,
w dal płynie mój śpiew
o żaglach czerwonych,
czerwonych jak krew!
O smutnej dziewczynie
co czeka we łzach,
aż wrócę do portu
pod chaty mej dach."

Trochę fałszywie, ale z uczuciem . . . I wszystkim jest dziwnie łzawo, tęsknie i smutno. Bo to już taka piosenka.

* * *

W nocy o pierwszej—alarm. Wyłażę zły i zaspany z koi. Silny, zimny wiatr zrywa mi czapkę z głowy. To już doprowadza mnie do pasji. Klnę cały świat i okolice. Niech tylko jakaś cholera przyleci!

Nie dał długo czekać na siebie. Usłyszeliśmy cichy szmer, potem co raz głośniejszy szum. Wreszcie —potężny warkot.

—Leci bardzo nisko!!

—Tam! Tam!!

—P a l !!!

Błysk, huk i okrzyki przy zmianie magazynków. . . .

—Bij, kto w Boga wierzy!!!—wrzeszczy z.d.o.

Niebo smagane biczami kolorowych pocisków świetlnych. Ścigacz aż drży od strzałów.

Ciemne, duże skrzydła—niby potwornego nietoperza—nagle coś wstrząsa. Może wiatr, może celny pocisk, może . . . strach. Gwałtowny zwrot ku morzu. Słychać jeszcze przez chwilę warkot. Jakby duszonego psa . . . wściekłego . . . Potem tylko szum, który znika w szumie wiatru.

Za dziesięć minut syreny śmieją się radosnym—"*All clear.*" Idę spać.

* * *

Za godzinę znów mnie budzą. Ki diabeł?! Dyżurny oficer przywozi sygnał: —

—"*Crashed German plane.* 10 *miles westward from . . . Look out for rubber dinghy.*" ... .

Szukać niemieckiego samolotu! A niech to jasny "dunder" świśnie! Tego jeszcze brakowało.

Jednego w życiu nigdy się nie nauczę: być takim gentleman'em, jakimi są Anglicy.

—Startować motory!

* * *

Jest bardzo ciemno i zimno. Dmie silny wicher. Przewalają się potworne, czarne chmury deszczowe. Brrr . . . Ubieramy się wszyscy na "sztormowo."

—Będzie mokro.

—I fala! . . . Poskaczemy.

Deszcz siecze bez przerwy. Idziemy pod wiatr. Jestem zziębnięty, zmoczony, zły jak rozjuszony tygrys. Trzymam się mocno poręczy na pomoście.

Co chwila grzebień fali nakrywa ścigacz. Słona woda gryzie w oczy. Ścieka po twarzy . . . Usta pełne są wstrętnej soli. Czuję lodowate strumienie spływające po całym ciele. Trzęsę się cały i dzwonię zębami. Jestem właściwie nieprzytomny. Z zimna i ze złości . . . Odruchowo już tylko chowam się przed każdą nową falą. Kurczowo zaciskam palce na poręczy.

A fala idzie za falą. Co raz większe. Spienione, dymiące jakby, wściekłe! . . . Tysiące! . . .

Tysiąc razy zlewa mnie woda. Wdziera się za kołnierz, za koszulę. . . .

Tysiąc razy ścigacz uderza o masę grzmiącego, rozpędzonego bałwanu. Całym swym wątłym kadłubem . . . Wszystko gnie się i trzeszczy. Wszędzie niesamowity bałagan. Nic nie jest na swoim miejscu. Nikt nie może zrobić kroku. Potężne uderzenie o falę i grzbiet uniesie najsilniejszego w otchłanie.

Czy tylko mój "bocik" wytrzyma? Chyba nie złamie go fala. Idę jak najwolniej. Tym więcej grzebieni nas nakrywa, ale wstrząsy, grożące rozbiciem są słabsze.

Woda jest wszędzie. Deszcz siecze bez przerwy. Wiatr bije kroplami. Kłuje niby szpilkami w źrenice. Wdziera się pod zmrużone powieki. Oczy bolą i pieką. Jakby wypalane gorącymi igłami. . . . Nic nie widać o pięć kroków.

Znów okropny wstrząs, trzask i podrzut całym ścigaczem.

Znów zimny prysznic fali . . . I lodowata woda ścieka po ciele.

I tak co chwila. Co fala. Cios za ciosem. A wicher co raz silniejszy. Już zrywa grzebienie. Na morzu biały kurz się podnosi.

Sztorm jest straszny dla ścigacza. A właśnie—sztorm! Jak samo piekło!

Szukamy niemieckich pilotów.

* * *

Rano jesteśmy w cichej zatoczce—kotlince.

Bilans potłuczonych garnków i własnych . . . kości wypada przygnębiająco, źle, katastrofalnie i zgoła ponuro. Ledwie trzymamy się na nogach. Lotników nie znaleźliśmy. Anglicy jednak plotkowali, jakoby w moim rewolwerze brakowało pięciu kul. A wszystkie noże kuchenne ociekały świeżą krwią . . . Niestety—to naprawdę tylko plotka.

W zatoczce jest spokojnie. Ale w górze wciąż hula wicher. Jak oszalały. Przewalają się rozpędzone, wydęte jak bryfoki chmury.

Tu jednak—cicho. Tyle, że deszcz czasami siecze.

Jeszcze godzina na służbie. Jestem potwornie zmęczony i śpiący. Leżę jak kłoda na koi. Bez życia i ducha. . . .

Za chwilę—sygnał: —

—"*M.G.B.* 204 *and M.G.B.* . . . *continue search for German crashed plane. Position* . . ."

Prawie, że spodziewałem się tego sygnału. Wyczułem go podświadomie. Jest mi już wszystko jedno.

Wychodzimy we dwójkę tym razem.

* * *

Wróciłem cały tylko ja. Ten drugi wyleciał na minie. Holowałem go do portu. Rufę miał całą w wodzie. Tonął. Dwóch motorzystów zabitych, dwóch marynarzy ciężko rannych.

Lotników niemieckich nie znaleźliśmy.

I znów był krwawy zachód. Czerwono było wokół i pachniało krwią. Pewnie znów będzie wichura.

* * *

Dzień wolny!

Czyszczenie broni, naprawa uszkodzeń, generalne sprzątanie.

Wieczorem—wyjście na ląd.

* * *

Nic na to nie poradzę, że lubię blondynki. Ładne i młode—oczywiście. A Joan jest właśnie blondynka. I to bardzo ładna.

Zaprosiła mnie do "*River-side'u.*" Jakieś tam—"*Sherry-party.*" I będzie gramofon. Najnowsze płyty.

* * *

O dziesiątej telefon z biura flotylli. Jakieś małe nieporozumienie między naszymi chłopcami i angielskimi żołnierzami. Na dancingu. O dziewczęta—oczywiście. Nie chciały w ogóle tańczyć z "Tomkami." Nie wiadomo—dlaczego?

Jeden *Tommy* udawał, że bardzo źle mówi po angielsku. Niby, że jest cudzoziemiec—Polak. Myślał, że ten fortel da mu w końcu powodzenie. Lub jakieś szanse chociaż. Ale zdradziła go jego znajoma.

Poszło o głupstwo. Grali foxtrot—"*Excuse me.*" Jedno, drugie dziewczę nie chciało tańczyć z Anglikiem. I nic tylko się garnie w ramiona granatowego Polaka. *Tommy* ją ciągnie, a Polak niegłupi puszczać. Żołnierze stawali się zbyt nachalni względem niewinnych dziewcząt . . . Polacy, wiadomo, rycerze z dziada pradziada—stanęli w obronie płci często słabej, a czasami nadobnej. I tak się zaczęło.

Zabawę na moment przerwano. Polacy wydelegowali czterech, ale —dobrych. Anglicy wyszli wszyscy—dwudziestu pięciu.

W dalszym ciągu wieczoru miały miejsce jednocześnie dwie imprezy—większość polskich marynarzy bawiła dziewczęta na dancingu, a tych czterech "delegatów" kruszyło kopie na dziedzińcu w obronie czci białogłów. Właściwie nie tyle kopie, ile—nosy i zęby biednych "Tomków."

Anglicy przez pomyłkę /wiadomo—"black-out"/—zbili strasznie jedynego, miejscowego policjanta; miał nieszczęście nosić granatowy mundur. A potem, w ogólnym zamieszaniu zaczęli się bić między sobą. Nasi chłopcy, widząc to, poprawili mundury i wrócili na salę taneczną.

Skończyło się na tym, że najwięcej ucierpiał poczciwy i Bogu ducha winien policjant. Jeden Polak miał bardzo poważnie złamany paznokieć u palca wskazującego prawej ręki. Ale on zresztą nie brał udziału w tym całym nieporozumieniu.

* * *

O północy jestem u siebie w domu. W wygodnym łożu. Kołdra nasunięta po same dziurki od nosa. Będę spał jak zabity . . . anioł. Budzik nastawiony na możliwie najpóźniejszą godzinę. Tyka miarowo. Usypiam.

—Panie poruczniku!! Panie poruczniku!!!

—Co do diabła?!

—Natychmiastowe pogotowie! Wychodzimy w morze! Motorówka czeka.

* * *

"Trzy trawlery, podejrzane o stawianie min, zameldowano tam i tam . . . Wysłać wszystkie zdolne do ruchu ścigacze na patrol ofensywny."

A już myślałem, że . . . "*German crashed plane.*" To by mnie dobiło.

Wychodzą tylko trzy M.G.B.—polskie. Tadek, Jędrek i ja.

Wiatr ucichł. Jest wspaniały księżyc. I srebrno od gwiazd. . . . Cudna, pogodna, jasna noc! . . . Bo bywają czasem piękne noce w kanale. I ciekawe zadania. . . .

* * *

Ranek wstał świeży i rześki. Niedziela. Pogoda jakby wymarzona na ten dzień. Wolny od służby! Dmucha sobie lekki wiaterek. Akurat dobry na żagiel! Wynajmę jachcik i zabiorę Joan po *lunch'u.* Będzie—"*lovely*"! A może wolałaby partię tenisa. Zobaczymy.

Wkładam "ślubny" mundur. Nasuwam fantazyjnie czapkę i zmierzam żwawo do motorówki rejsowej. Na ląd!!!

Uśmiecham się do siebie, do złotej niedzieli, do morza, do życia, do wszystkiego.

—*Good morning!*

—*Good morning, Sir!*

—Czy pański *boat* jest dzisiaj wolny?

—*Yes, Sir!*

I pada rozkaz "przewiezienia" po morzu paru szczurów lądowych /bardzo "odpowiedzialnych," oczywiście/, by "zapoznali się z morzem." . . . Więc zabierze ich pan? *All right?*

—*Yes, Sir.*

—Więc po *lunch'u.* Około trzeciej. Na jakąś godzinkę *only, may be—two.* . . .

—*Yes, Sir!*

Już się nie uśmiechałem. Ani do siebie, ani do niczego. I nawet *lunch'u* nie jadłem. Byłem w nastroju jak pies, gdy mu tłustą kość ze szpikiem z przed nosa sprzątną. Bardzo apetyczną . . . A czuł już jej woń.

Było mi jednak dane uśmiechnąć się jeszcze tego dnia. W morzu, jak zwykle, fala—bo wiaterek dość silny. Towarzystwo wycieczkowe—na początku roześmiane, rozbawione pędem ścigacza, uszczęśliwione, dziwnie jakoś ucichło. Twarze pożółkły, wyciągnęły się żałobnie, a nieszczęśliwie. I choć deszczu nie było, wszyscy byli przemoknięci do suchej nitki. Od fali. I co chwila, ktoś podejrzanie długo zwisał za burtą w malowniczej, a niedbałej pozie.

Prosili, żeby już wracać. Że już mają dosyć . . . przyjemności. Ja byłem jednak bardzo uprzejmy i ani rusz nie chciałem. Koniecznie jeszcze trochę. Może ktoś posteruje? Aha! Świetna okazja! Pójdę na milę pomiarową sprawdzić szybkości na poszczególnych obrotach. Z wiatrem i pod wiatr! . . .

Nie mieli siły już oponować. Ani stać. Nikt nie odważał się zbliżać do burty. Nie mogli już p . . . prosić, w ogóle—mówić. Siedzeli cisi a przygnębieni, żałośni a słabi. Ubrania mokre i w opłakanym stanie—nie tylko od wody.

A ja szalałem na co raz większych obrotach. Z wiatrem i pod wiatr. Całą godzinę jeszcze. I co raz serdeczniej i szczerzej uśmiechałem się. Do siebie, do złotej niedzieli, do wiatru, do nich. . . .

Gdy wróciłem do portu, strasznie grzecznie i bardzo czule mi dziękowali. Jakby za wyratowanie od pewnej śmierci. /Przepraszali też gorąco za zrobiony . . . nieporządek./ I piorunem, na łeb na szyję, jeden przez drugiego uciekali, na ląd, gdy im zaproponowałem, że mogę jeszcze trochę pojeździć, skoro im się to tak bardzo podoba.

Od tego czasu nigdy już z wycieczkami nie "jeździłem."

* * *

O godz. 10-ej "A.M."—odprawa dowódców.

Będziemy konwojować 30 statków przez całą noc. Omawiamy szyki, szybkości, sektory, sygnały i td. i td. i td. . . . I najważniejsze —jak każdy ma manewrować i atakować w wypadku spotkania ścigaczy niemieckich.

Mam nadzieję, że je spotkamy.

Eugeniusz Wciślicki



Chwila napięcia na polskim kontr torpedowcu: stwierdzono obecność okrętu podwodnego—bomby głębinowe lecą za burtę.

Wojsko polskie na Bliskim Wschodzie

II.*

W międzyczasie wypadki we Francji przyjęły katastrofalny obrót i zakończyły się prośbą o zawieszenie broni. To wstrzymało moje dalsze starania o wyjazd do Francji, bo w chaosie wydarzeń niewiadomo było, gdzie się znajduje rząd polski i naczelne dowództwo i jak dla nas dalej ułoży się sytuacja.

Gen. Mittelhauser w rozkazie do armii i przemówieniu radiowym oświadczył, iż zawieszenie broni jego nie obowiązuje, a imperium francuskie będzie się dalej bić niezależnie od tego, co się stanie we Francji.

Przeżywaliśmy wówczas bardzo ciężkie chwile. Francuzi chodzili z nosami spuszczonymi na kwintę i niebardzo swoim zachowaniem dawali pewność, czy istotnie zamierzają dalej walczyć z państwami osi. Specjalnie zachowanie żołnierzy francuskich budziło duże zastrzeżenia. Nie krępując się zupełnie dawali wyraz zadowoleniu z zawieszenia broni i pokoju. Wielu zdawało się, że już natychmiast wrócą do domów, do żon, narzeczonych, pełnego koryta i dobrych zarobków. U góry, w sztabach i biurach wysokiego komisarza Syrii, panował zupełny chaos.

Wprawdzie radio, prasa i oficjalne enuncjacje mówiły o dalszej walce, ale rzeczywistość raczej temu przeczyła. Po kilku dniach nagle zmienił się ton i tenże sam Mittelhauser ogłosił, że Syria solidaryzuje się z macierzą i przystępuje do zawieszenia broni. Szef Sztabu płk. de Larminat, który wystąpił przeciw tej decyzji, został nazwany zdrajcą i zaaresztowany. W Beyrucie nastąpiła ogólna radość. Zniesiono *black-out*, otwarto wszystkie bałagany, a pijani żołnierze francuscy nie taili swej radości z zakończenia wojny, pomimo, że w niej nie brali udziału i nie oddali ani jednego strzału. Dobre dotychczas stosunki z Anglikami uległy gwałtownemu oziębieniu. Akcja floty angielskiej pod Oranem przerwała je zupełnie.

Nastały dla nas bardzo ciężkie chwile. Dowódca brygady odbył szereg konferencji z gen. Mittelhauserem, aby zapewnić sobie wolny wymarsz z Syrii z bronią w ręku do sąsiedniej Palestyny, co już zostało z Anglikami uzgodnione. W ostateczności Gen. Mittelhauser zgodził się na to.** Trzeba bezstronnie przyznać, że wszystkie władze francuskie poszły nam bardzo na rękę, dozbrajając jeszcze brygadę i uzupełniając jej wyposażenie. Zapłacono wszystkie zaległości i dano sprzętu więcej, niż się brygadzie należało.

W dwóch sprawach tylko nie udało się skłonić Francuzów do hojności: w broni pancernej i lotnictwie. Widząc hojność francuską, przypuszczałem, że władze lotnicze będą wolały wydać nam pewną ilość samolotów i wyposażenia, niż zdawać to włoskiej Komisji Rozbrojeniowej. Zaproponowałem więc dowódcy brygady, abyśmy pojechali do dowódcy lotnictwa gen. Janot i zaproponowali mu tego rodzaju transakcję, jaka miała miejsce z innym sprzętem. Na wszelki wypadek przygotowałem ludzi, aby otrzymany ewentualnie sprzęt lotniczy przerzucić do Palestyny drogą powietrzną i kołową.

Gen. Janot przyjął nas uprzejmie, ale kategorycznie odmówił, tłumacząc, że wprawdzie obowiązuje go zawieszenie broni, ale ze względu na bezpieczeństwo Syrii wyrobi się w układach z Niemcami zezwolenie na utrzymanie jednostek lotniczych. Na pocieszenie zapewnił, że przecież nie będzie trudności dostać ten sprzęt, który Francja zamówiła w Ameryce, a którego teraz nie ma już sensu sprowadzać. Wszelkie nasze argumenty nie trafiły mu do przekonania. Nie mając już nic więcej do roboty w Syrii, oczekującej przyjazdu zapowiedzianej włoskiej Komisji Rozbrojeniowej, spakowałem manatki i korzystając z okazji, zabrałem się samochodem do Palestyny, dokąd już dzień przedtem w należytym ordynku wyruszyła brygada.

Na nowym miejscu przeznaczenia natrafiliśmy na zupełnie odmienne warunki. Pomimo klęski Francji, Anglicy zachowali całkowity spokój i zimną krew. Przyjęli nas grzecznie, ale z przysłowiową rezerwą. Brygada została rozlokowana na wzgórzach "Latrum" w połowie drogi między Jerozolimą a Tel Aviwem. Szereg namiotów i baraków stanowiło olbrzymi obóz, rozrzucony na dużej przestrzeni. Warunki były bardzo dobre, takie same, jak dla oddziałów angielskich.

Organizacja wojska polskiego w Palestynie wyglądała następująco:

—pełna brygada strzelców dobrze wyszkolona i gotowa do działań bojowych.

—wielki ośrodek zapasowy, składający się z kilku batalionów.

—dwie duże stacje zborne, jedna w Haifie, a druga nad granicą, dla przyjmowania żołnierzy polskich napływających z Turcji drogą lądową i morską.

Początkowo Francuzi przepuszczali Polaków przez Syrię do Palestyny. Później granicę zamknięto, wobec czego pozostała jedynie możliwa droga morska.

W stosunkowo niedługim czasie zebrała się w Palestynie także spora gromada lotników. Na dowódcę oddziału lotniczego i referenta dla spraw lotniczych wojska polskiego na wschodzie wyznaczył dowódca brygady mnie.

Przedstawicielami władz polskich w Palestynie był Konsulat Generalny w Jerozolimie i Konsulat w Tel Aviwie. Polskość reprezentowały poza tym polskie organizacje katolickie, których ośrodek stanowił "Dom Polski," prowadzony przez zakonnice, następnie "Bank Polski P.K.O.," Izba Przemysłowo Handlowa Polsko-Palestyńska" i kilka pomniejszych instytucji żydowsko-polskich. Palestyna jest terenem osadniczym dla Żydów z całego świata, pośród których największy stosunkowo procent przypada na Żydów polskich.

Władze angielskie reprezentowane były przez "Wysokiego Komisarza" i przez dowódcę wojsk angielskich w Palestynie, który z kolei podlegał dowódcy wojsk angielskich na Bliskim Wschodzie, gen. Wavell w Kairo.

Przygnębienie, jakie udzieliło się brygadzie po klęsce francuskiej szybko minęło, gdyż żołnierze zetknęli się z zupełnie inną atmosferą niż w Syrii. Na każdym kroku spotykaliśmy się z angielskim spokojem, wzorowym porządkiem, wysokim poczuciem obowiązku i wiarą w ostateczne zwycięstwo. Anglicy dali nam dobry przykład, jak należy trzymać nerwy na wodzy, nie ulegać panice i nie załamywać się moralnie, pomimo, że ich wyspa macierzysta znajdowała się w bardzo ciężkiej sytuacji. Był to okres Dunkierki, groźby inwazji i przechwałek niemieckich, że w kilka tygodni wykończą Anglię. Brygada sąsiadowała z 16 dywizją australijską, której oficerowie i szeregowi w krótkim czasie stali się naszymi prawdziwymi i oddanymi przyjaciółmi.

Siły angielskie na Wschodzie były ówczesnie ilościowo słabe, a dzięki kapitulacji Francji, Anglia stanęła wobec ciężkiego zadania obrony Egiptu przed przeważającymi siłami włoskimi: marszałka Grazianiego w Libii i księcia Aosty w Erytrei. Dlaczego wtedy Włosi nie uderzyli na Egipt nie mogę zrozumieć. Wyjaśnienie tego kardynalnego błędu strategicznego znajdziemy prawdopodobnie dopiero po wojnie.

Anglicy nie okazywali na zewnątrz swej trudnej sytuacji. Duch wojsk angielskich był doskonały. On to udzielił się i nam, gdyśmy widzieli, że Anglia chce walczyć dalej, i daleka jest od jakichkolwiek myśli o kapitulacji, czy też przyjęcia krzykliwie oferowanego jej przez Hitlera pokoju.

Wojska angielskie, a specjalnie dywizje australijskie przechodziły owcześnie okres intensywnych ćwiczeń, które je miały przygotować do akcji bojowej, tak wspaniale później zademonstrowanej w zwycięskiej ofensywie gen. Wavell'a. Polacy, pomimo swego bezsprzecznie lepszego wyszkolenia od Australijczyków, nie pozostali w tyle, lecz szkolili się gorliwie, przystosowując się do wymagań taktyki angielskiej. Wspólne większe ćwiczenia taktyczne z Australijczykami i Anglikami wciągnęły Polaków z miejsca w tryby przygotowania do akcji, jaką gen. Wavell gotował przeciw Włochom w Afryce.

Brygada posiadała broń francuską, która w niedługim czasie miała być wymieniona na nowoczesną broń angielska. Miała się więcej zmotoryzować i przystosować do walki z bronią pancerną. Zachowała ona swoją odrębność w umundurowaniu i znakach polskich, tak samo, jak jednostki polskie w Szkocji.

Żołnierz polski na Wschodzie był owiany doskonałym duchem. Stosunki między oficerami i szeregowymi były wzorowe. "Morale" żołnierza został uratowany i trzymany na bardzo wysokim poziomie. Patriotyzm, zapał, chęć do walki i doskonała dyscyplina nie były tylko frazesami, ale rzeczywistością. Zawdzięczano to dobrze dobranym dowódcom i głównie, uniknięciu następstw demoralizującej klęski francuskiej. Porównując stosunki i zewnętrzny obraz żołnierza polskiego tu i na Wschodzie, muszę niestety stwierdzić, że ocena wyraźnie przechyla się na korzyść tego ostatniego.

Początkowa rezerwa Anglików, którzy zapewne sądzili, że zwali im się do Palestyny zdemoralizowana banda uciekinierów a nie regularne wojsko, przemieniła się szybko w sympatię i uznanie. Częste wizyty wysokich dowódców ang. z gen. Wavell'em na czele, wyniki pracy wojskowej, porządek, dyscyplina i zachowanie się żołnierza polskiego na obcym gruncie, wreszcie, raporty ścisłych i sumiennych obserwatorów angielskich, przydzielonych do brygady, wyrobiły szybko Polakom opinię doskonałego i pełnowartościowego żołnierza. Od tego czasu Anglicy, zawsze wstrzemięźliwi w pochwałach, niejednokrotnie dawali pełny wyraz uznania dla wojska polskiego.

Stosunek ludności cywilnej, głównie żydowskiej, ułożył się z miejsca dobrze. Żydzi zagrali na nutę patriotyczną, odnieśli się z dużą serdecznością do żołnierzy, podkreślając swą polskość przy zetknięciu się z nimi. Było w tym wiele szczerego sentymentu i zdradzało duże przywiązanie Żydów do Polski. Na każdym kroku spotykał się żołnierz polski z objawami sympatii, gościnności i życzliwości żydowskiej. Tak postępowały nie tylko jednostki, ale i wszystkie organizacje żydowskie, rekrutujące się z Żydów polskich.

Kręcąc się po Tel-Aviwie, czy Jerozolimie, wielokrotnie miałem złudzenie, że znajduję się w dzielnicy żydowskiej jednego z miast polskich. Tak harmonijnego stosunku, jaki istniał między Żydami polskimi a wojskiem polskim w Palestynie, zdaje się nawet w kraju nie było. Jest w tym duża zasługa żołnierza polskiego, który swym zachowaniem nie dał żadnych powodów do stwarzania różnic i rozdźwięków. Tułaczy żołnierz polski czuł się tu dobrze po rozmaitych ciężkich i upokarzających przejściach, na jakie go skazał los, po klęsce wrześniowej. Mógł się porozumiewać swobodnie w ojczystym języku, okazywano mu serce i zrozumnienie dla jego tęsknot, marzeń i pragnień. Odpłacił tym samym, a to wystarczyło, aby wytworzyć przyjazną atmosferę.

Na nowym terenie działania trzeba było również pomyśleć o rozwiązaniu zagadnienia lotniczego. W tym celu udałem się z płk. K. do dowódcy lotnictwa angielskiego w Palestynie, *air commodore* Dalbiac, któremu przedstawiliśmy naszą sprawę:

W wojsku polskim na Wschodzie mamy odpowiednią ilość pilotów, obserwatorów, strzelców i mechaników. Ludzie ci palą się do latania, a na razie, z braku innego zajęcia, trzyma się ich w piechocie. Proszę nam umożliwić przeszkolenie tych ludzi w angielskich bazach lotniczych i zależnie od decyzji, albo zorganizować jednostkę lotniczą na miejscu, albo też odesłać ich do lotnictwa polskiego w Anglii.

—Nic panom zdecydowanego odpowiedzieć nie mogę—wyjaśniał nam komandor—bo w tej sprawie muszę się odnieść do dowódcy R.A.F. w Kairze, któremu podlegam, jako naczelnemu dowódcy lotnictwa na Bliskim Wschodzie. Jedynie on jest w mocy zadecydować w tej sprawie. Proszę mi przynieść dokładny wykaz polskiego personelu lotniczego, a zapewniam panów, że zrobię wszystko, co leży w mej mocy, aby sprawę tę pomyślnie załatwić.

Na drugi dzień stawiłem się ponownie w kwaterze głównej R.A.F. w Jerozolimie na konferencję, na którą uprzednio zostałem zaproszony. Przedstawiłem całą naszą sytuację personalną i konieczność wykorzystania wysokowartościowego personelu lotniczego, który się marnuje, nie mając warunków pracy.

Po konferencji tej zostałem zaproszony na pokaz ćwiczeń lotniczych w Ramleh, zorganizowany dla oficerów kawalerii angielskiej. Lotnisko w Ramleh było najważniejszą angielską bazą lotniczą w Palestynie, położone niezbyt daleko od Latrum, miejsca postoju naszych wojsk. Skorzystałem skwapliwie z zaproszenia, tym bardziej, że znałem już dowódcę dywizjonu lotniczego, który poprzednio przyjechał złożyć wizytę dowódcy brygady i gorąco zapraszał mnie wraz z oficerami do odwiedzania go na lotnisku.

Pokaz wykonany na samolotach typu "Lysander" był demonstracją praktyczną tych zadań, do jakich ten rodzaj samolotów jest przeznaczony. A więc: rozpoznanie, wstrzeliwanie artylerii, bombardowanie i ostrzelanie z k.m. celów ziemnych, zrzucanie i podchwytywanie meldunków, łączność radiowa samolotów z ziemią, wreszcie, zrzucanie z samolotów paczek z amunicją przy pomocy spadochronów na oznaczony punkt. Na sali taktycznej przechodziliśmy teoretycznie cały proces, jaki się odbywa w eskadrze, od momentu otrzymania rozkazu, do jego wykonania i przekazania dowództwu rezultatów.

Na przyjęciu w kasynie lotniczym poznałem seniora stacji, który bardzo sympatycznie odnosił się do mnie i do moich zamierzeń, odnośnie przeszkolenia naszego personelu lotniczego.

Sprawa przeciągała się, ale rozumiałem, że Anglicy nie mogą wydać decyzji przedtem, zanim nie nastąpi zakończenie pertraktacji polsko-angielskich o tworzeniu Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii, które się toczyły w Londynie.

Ażeby sprawę popchnąć na przód wybrałem się ponownie do głównej kwatery R.A.F. w Jerozolimie. Skierowano mnie do zastępcy Dalbiaca, *group captaine* Sanders'a, który okazał się bardzo przychylny dla Polaków. Znał lotnictwo polskie dość dobrze, bo był niedługo przed wojną w Polsce, jako oficjalny gość naszego lotnictwa. Poza tym musiał go znać także ze swej pracy służbowej, jako Szef wywiadu R.A.F. na Wschodzie. Rozmowa z nim poszła gładko w dobrym nastroju przyjacielskim. Udało mi się przekonać go, aby nie czekając na ostateczne decyzje, zorganizować na lotnisku w Ramleh lotniczy kurs informacyjny dla Polaków, w którym mieliby możność praktycznego zapoznania się z lotnictwem angielskim. Projekt ten podobał mu się, zastrzegł się jedynie, że musi uprzednio, przed wydaniem rozkazu, porozumieć się z Kwaterą Główną w Kairze.

Po kilku dniach zostałem ponownie wezwany do Dalbiac'a, gdzie w obecności Sanders'a zakomunikowano mi zgodę na zorganizowanie kursu. Szczegóły miałem omówić i opracować wspólnie z oficerem seniorem stacji lotniczej w Ramleh. Na zakończenie *Air Commodore* zawiadomił mnie, iż *Air Marshal* Longmore w Kairze odniósł się do Londynu z prośbą o decyzję w naszej sprawie.

Kiedy w obozie w Latrum zakomunikowałem tę wiadomość, bractwo lotnicze nie ukrywało swej radości, że wreszcie zacznie coś robić w swym umiłowanym fachu. Po porozumieniu się z dowódcą brygady ustaliliśmy, że należy powołać do życia oddział lotniczy, wydzielić z piechoty wszystkich niewątpliwych lotników i mechaników oraz rozpocząć wstępne niejako przeszkolenie na kursie w Ramleh. Dla przeszkolenia oddział lotniczy został podzielony na dwie grupy: personelu latającego i techniczną.

W międzyczasie przyszło zawiadomienie o zawarciu układu polsko-angielskiego, który już zupełnie pewnie utrwalał naszą sytuację prawno-wojskową.

Adam Wojtyga

* Por. nr. 44 "Polski Walczącej."

** Okoliczności, w jakich odbyło się przygotowanie do wyjścia z Syrii, bardziej szczegółowo przedstawia artykuł: "Brygada Karpacka," druk. w nr. 24 "Polski Walczącej" z b.r.



Przegląd jednego z oddziałów Brygady Karpackiej na tle pustynnego krajobrazu Afryki.

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

ŚMIERĆ LUDWIKA KRZYWICKIEGO

"Robotnik Polski" w Nowym Yorku przynosi bolesną wiadomość o śmierci Ludwika Krzywickiego w Warszawie. Jest to bez wątpienia jeden z największych ciosów, jaki ostatnio spadł na naukę polską. Mimo bowiem sędziwego wieku Ludwik Krzywicki był niesłychanie czynny umysłowo, nie przerywając ani na chwilę swych badań naukowych. W jego działalności imponuje przede wszystkim niezmiernie rozległa skala zainteresowań. Socjolog i ekonomista, historyk ruchów społecznych i statystyk, etnograf i antropolog—oto dalekie dziedziny poszukiwań badacza, którego rodowód naukowy i pasja społecznikowska wywodziły się z najlepszych tradycyj warszawskiego pozytywizmu.

Wspomnienia Hertza "Wielki nauczyciel /1859-1941/" uwypuklają przede wszystkim olbrzymią rolę wychowawczą, jaką odegrał Krzywicki—nauczyciel, z którego pism całe pokolenia uczyły się myślenia pojęciami społecznymi. Krzywicki związany od wczesnej młodości z ruchem socjalistycznym oddał olbrzymie usługi robotniczemu ruchowi oświatowemu.

Tę wychowawczą stronę działalności Krzywickiego-społecznika uwypukla wspomnienie nowojorskiego pisma. Zahacza ono tylko o naukową pracę Krzywickiego. A przecież można śmiało powiedzieć, że czym był wśród pokolenia starszego badaczy ostatniej doby ze względu na skalę zainteresowań w zakresie dziejów kultury polskiej Aleksander Brückner, tym samym był w zakresie nauk społecznych Ludwik Krzywicki. Ta sama szeroka rozpiętość zainteresowań, podobny ogrom dorobku.

W związku z tym nie można się oprzeć jednej smutnej myśli: tyle tu na ziemi angielskiej wychodzi pism polskich, są nawet takie, które usiłują przypisać sobie monopol w zakresie zagadnień kulturalnych, a w żadnym z nich nie znalazło się miejsce na zarejestrowanie bodaj śmierci badacza, którego strata dla nauki polskiej jest tym, czym śmierć najwybitniejszych profesorów krakowskich w Oranienburgu. Śmierć Krzywickiego jest tylko jednym z przejawów tego niezwykle groźnego dla przyszłości nauki polskiej przerzedzania się szeregów badaczy.

ZAPOWIEDŹ NOWYCH KSIĄŻEK O POLSCE W AMERYCE

Nakładem Fundacji Kościuszkowskiej, ma się ukazać jeszcze w ciągu roku bieżącego praca zbiorowa p.t. "*Great Men and Women of Poland.*" Będzie to rodzaj przekroju dziejów kultury polskiej, ujętego w formę życiorysów najwybitniejszych jej przedstawicieli od czasów najdawniejszych do chwili obecnej, od Bolesława Chrobrego do Paderewskiego.

"Nowy Świat," który przynosi tę wiadomość informuje zarazem o nowym zamierzeniu wydawniczym, którego myśl wyszła z Zarządu Stowarzyszenia Polskich Pracowników Naukowych im. T. Kościuszki, grupującego uczonych przybyłych niedawno z kraju. Zbiorowa ta praca, również wspierana przez Fundację Kościuszkowską, ma nosić tytuł "Dwudziestolecie Polski Niepodległej." Ma ona dać obraz osiągnięć politycznych, gospodarczych i kulturalnych Polski na przestrzeni lat 1918-1939. Cała praca ma być podzielona na osiem części, której redaktorami są uczeni przebywający w Stanach Zjednoczonych /np. O. Halecki, W. Świętosławski, M. Kridl, i inni/.

ARABOWIE WOBEC ŻOŁNIERZY POLSKICH

"Dziennik dla Wszystkich" drukuje interesującą korespondencję żołnierza, który po klęsce Francji starał się dostać do Afryki, do Brygady Karpackiej. Przychwycony po drodze znalazł się w obozie karnym w Tunisie, gdzie miał sposobność poznać nastroje ludności arabskiej wobec Polaków. Obóz był na wsi, gdzie rozwija się arabski ruch wolnościowy. Odnosi się on do Polaków z dużą sympatią. Oto co pisze dosłownie o tym nasz żołnierz:

"*Arabom imponuje nasza nieugięta postawa w walkach o niepodległość. W akcji swojej Arabowie powołują się na Polaków i ludowi swojemu za przykład ich stawiają.*

Z tej racji ludność osady okazywała nam wszelkie względy. Wielu Arabów widziało nas przed rokiem w akcji na frontach, wielu przebywało razem z naszymi w niemieckiej niewoli. Niektórzy byli nawet na Polskim Pomorzu. Wrażenie o Polakach z tego okresu wynieśli widocznie jak najlepsze, bo dziś skoro się dowiedzą, że przed nimi stoi Polak, natychmiast wyciągają ręce i mówią: Polonais braves soldats et bons camarades."

ZGON KAZIMIERZA GŁUCHOWSKIEGO

"Odsiecz—Polska Walcząca w Ameryce" przynosi gorąco odczute wspomnienie o redaktorze buffalowskiego "Dziennika dla Wszystkich." Gdy pierwsze wiadomości o śmierci Kazimierza Głuchowskiego dotarły tu do nas, do Londynu, nie chcieliśmy dawać im wiary, nie chcieliśmy pogodzić się z myślą, że tak potwornie nagle zabrakło człowieka, który w ostatnim roku z niesłychanym entuzjazmem i twardym uporem dążył na łamach prasy polskiej w Ameryce do jednego tylko celu—do przeparcia opinii, że stworzenie armii polskiej na drugiej półkuli jest zadaniem najważniejszym.

Temu naczelnemu celowi podporządkował wszystkie inne, z zapałem, najlepszą wolą, niezmordowanie, ciągle i bezustannie nawoływał Polonię Amerykańską do stworzenia siły zbrojnej. W jego przekonaniu było to zadanie naczelne, zasadnicze, wobec którego inne, nawet choćby o takiej doniosłości, jak akcja dobroczynna, musiały zejść na plan wtórny.

Żadne pismo nie poświęciło tyle gorąco odczutych kart walce żołnierza polskiego co "Dziennik dla Wszystkich" za redakcji K. Głuchowskiego. Zabiegał niestrudzenie o odpowiedni materiał dokumentacyjny z walk wojska polskiego, toteż często sięgał do wspomnień drukowanych w "Polsce Walczącej," czy "Dzienniku Żołnierza." Ubył niestrudzony propagator sprawy wojska polskiego wśród Polonii Amerykańskiej.

Już przed pierwszą wojną światową był redaktorem pism polskich w Ameryce. Gdy wybuchła wojna światowa, Głuchowski nie zawahał się przed opuszczeniem drugiej półkuli, pośpieszył w szeregi Legionów. Był jednym ze współpracowników departamentu wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego. W pierwszych latach niepodległości brał udział w tworzeniu aparatu prasowo-informacyjnego w kraju, był redaktorem "Monitora Polskiego" i jednym z współzałożycieli Polskiej Agencji Telegraficznej.

Wróciwszy na drugą półkulę objął stanowisko konsula polskiego w Brazylii. Przez długie lata pracował w oddziale propagandy w Linii Gdynia-Ameryka. Po wybuchu obecnej wojny redagował najpierw tygodnik "Jedność-Polonia" w Baltimore, by potem objąć redakcję "Dziennika dla Wszystkich" w Buffalo.

Gdy rozpoczęła się akcja werbunkowa w Kanadzie, Głuchowski stanął na czele działu propagandy w "Centrum Przyjaciół Żołnierza." Postawę jego w akcji werbunkowej najlepiej maluje fakt, że porzucił nawet ulubiony warsztat pracy dziennikarskiej, zrzekł się na dwa tygodnie przed śmiercią redaktorstwa "Dziennika dla Wszystkich," by móc się przenieść do obozu wojska polskiego w Windsorze i tam na miejscu oddać całkowicie i wyłącznie sprawie tworzenia armii swoją znajomość stosunków amerykańskich, swój zapał i oddanie dla sprawy polskiej.

Nagły atak serca położył kres życiu człowieka, który w działalności swej, w temperamencie okazywał znamiona typowego kresowca, cechy właściwe ziemiom wschodnim Polski, z których pochodził. Żegna go dziś serdecznie "Odsiecz—Polska Walcząca w Ameryce," żegnają go organy prasy polskiej, "Dziennik Związkowy," "Nowy Świat," "Dziennik dla Wszystkich." Do tych głęboko odczutych wyrazów współczucia i żalu przyłącza się "Polska Walcząca," która nie zapomni nigdy życzliwości i zrozumienia, z jakim odnosił się do jej potrzeb ten zapaleniec i entuzjasta armii polskiej na drugiej półkuli. Po numerze amerykańskim "Polski Walczącej" spowodował w "Stowarzyszeniu Wydawców i Dziennikarzy Polskich w Ameryce" uchwałę, postanawiającą—jak pisał w liście drukowanym w nr. 32 naszego pisma—"przygotować materiał na numer, który byłby pewnego rodzaju odpowiedzią dziennikarzy polskich w Ameryce i równocześnie określał nasze stanowisko w sprawie najważniejszej i najdroższej dla każdego Polaka —a to w sprawie Armii Polskiej."

Adam Ordęga

Skrzynka pocztowa

Do Polskich Żołnierzy w Anglii.

Drodzy i Kochani Żołnierze, Obrońcy naszej nieszczęśliwej Polski!

Jakimi słowami mogę wyrazić Wam swój najgłębszy szacunek i swoją bezgraniczną wdzięczność? i nie tylko od siebie, ale od tysięcy Polaków, co tak czują i myślą, słysząc o Waszym bohaterstwie, o Waszym poświęceniu dla ratowania Ojczyzny. Brak mi słów, a te jakie mogę Wam przesłać, to tylko słabiutka i bardzo nędzna dla Was pociecha, ale i to ziarenko, niech zaleci do Was, i niech da Wam tę odrobinkę pociechy, że my o Was zawsze myślimy, i prosimy Boga, by ten Wasz trud, to Wasze poświęcenie przyjął łaskawie, i pobłogosławił Waszym wysiłkom i ofiarom, jakie składacie na ołtarzu Ojczyzny.

Posyłam Wam trochę gazet, będę się starała częściej takowe wysyłać, a posyłam co uważam za lepsze, bo tak jak wszędzie, tak i u nas są różne pisma, dobre i szkodliwe, które jakby nie były zadowolone z tego, co Gen. Sikorski robi dla Polski, ale my mu wierzymy, i ufamy, że on z pomocą Bożą i Waszą, kochani Żołnierze, Polskę uratuje, wróci Jej Wolność i takie granice, których pragniemy.

Niechże Wam wszystkim, którzy o to walczycie Bóg dopomaga, chroni Was, a błogosławi Wam na każdym kroku.

Zasyłamy Wam nasze najserdeczniejsze pozdrowienie i uściski waszych dzielnych dłoni,

za szczerych Polaków z Ameryki—
D. Galińska, 9 Ave, C. Brooklyn,
N.Y., U.S.A.

* * *

Polski Czerwony Krzyż, Zarząd Główny

Potwierdzamy odbiór pisma Pana oraz nadesłanych nam sh.4/7 stanowiących równowartość 1 dolara przysłanego przez p. Helenę Jesse.

Powyższą przesyłkę przekazaliśmy na pomoc polskim jeńcom wojennym i uprzejmie za nią dziękujemy.

* * *

"My leżąc gdzieś na szkockiej ziemi" w szpitalu, może najwięcej pragniemy słowa polskiego, a to daje nam "Polska Walcząca" . . .

Nie jest przesadą, gdy powiem w imieniu swym i mych kolegów, że chętnie widzielibyśmy "Polskę Walczącą" jako dziennik. Ja sam jestem od dwunastu lat dziennikarzem, więc sądzę, że mogę kilka słów powiedzieć o "naszej" prasie na wychodźstwie.

. . . Bardzo Pana przepraszam za rozpisanie się, lecz tyle zebrało się żalów w duszy, że chce się je przed kimś, do kogo się ma zaufanie, wypowiedzieć, a wszyscy mamy zaufanie do "Polski Walczącej" . . .

. . . Zasyłam jak najserdeczniejsze życzenia dla Pana, jego zespołu redakcyjnego i co najważniejsze dla NASZEJ "Polski Walczącej," którą mamy nadzieję czytać również po skończonej wojnie, w Wolnej Polsce. Szczerze oddany.

Zygmunt Frydrych

Bez black-outu

Statystyka angielska doszła do wniosku, że większe szkody, niż bombardowania niemieckie, wyrządziła w tutejszym przemyśle zbrojeniowym . . . grypa. Ilość opuszczonych dniówek z powodu przeziębień mogła by, według tej statystyki, wystarczyć do zbudowania 3.500 czołgów, 1.000 bombowców i wyprodukowania miliona karabinów. Nie trzeba dodawać, że Anglicy zabrali się energicznie do zwalczania tego, na pozór niepoważnego, a jednak tak groźnego wroga.

Zamyśliłem się nad tym obliczeniem statystki angielskiej . . . Ile to czołgów, bombowców, mogliśmy mieć w Polsce, gdyby—tak, tak, gdyby nie grypa . . . moralna, epidemia nie oszczędzająca wielkich i maluczkich, siejąca spustoszenia w rzeczach dużej i małej wagi. Jak złośliwy kornik toczy od lat utajona choroba charakter Polaka. Objawy jej znane i popularne, przebieg dość prosty:

zaczyna się od daleko posuniętego krytycyzmu, potem następuje gorączka "lepszoznawstwa" /termin medycyny niemieckiej "besserwisserstwo"/, z kolei pacjent zaczyna wyolbrzymiać zagadnienia drugorzędne kosztem pierwszorzędnych, następuje silny okres rozsiewania przez chorego bakcyli-intryg, pacjent zaczyna zatruwać sobie i innym atmosferę, zużywając resztki energii na funkcje niepożyteczne i wreszcie następuje kryzys, to znaczy: chory łatwo się obraża, przychodzi maligna robienia wideł z igieł i— wreszcie pacjent umiera społecznie na zanik ciałek zdrowego rozsądku jako ofiara nienazwanej epidemii. Dziś jednak damy jej nazwę:

"PRZECZULICA POLONICA."

Przecież to ona zrodziła w swoim czasie u nas to jedyne w swoim rodzaju pytanie i jeszcze popularniejszą odpowiedź: "Jak pan z nim jest?"—"Jestem z nim źle" /rzadziej: "ja z nim jestem dobrze"/. Studiowałem pilnie przeczulicę w bogatych jej odmianach mając ku temu aż nadto wiele sposobności w Polskim Radio. O co się ludzie nie obrażali?—Ba, nie tylko poszczególne osoby, ale całe familie, związki, organizacje. Okazywało się, że jedna niewinna, na pozór wesoła audycja, kryła w sobie dla każdego inny moment zadrażnienia, zdarzało się, że ktoś nie dosłyszał, nie zrozumiał, ale na wszelki wypadek . . . obraził się. Pisał pan Misiurkiewicz protestując przeciw używaniu jego nazwiska przez "radcę" Strońcia, nadesłał list adwokacki pan Pindelski za umieszczenie nazwiska jego żony w jakimś słuchowisku, pogniewał się Związek Pań Domu za piosenkę, a Związek Lokatorów obraził się za skecz.

Pamiętam historyczną wizytę kaflarzy lwowskich /zdunów, jak mówią w Warszawie/, którzy złożyli ostry protest na piśmie w rozgłośni z powodu tytułu jednej z wesołych audycyj: "Heca koło pieca" /zabawa na przedmieściu/. Poczciwi lwowscy kaflarze stwierdzali w obszernym memoriale, że: "piec jest naszym zawodowym obiektem pracy i wszelkie podrywanie autorytetu pieca jako takiego, a w szczególności nazywanie naszej ciężkiej pracy "hecą" jest obraźliwe i krzywdzące dla ogółu polskich pracowników." Na próżno tłumaczyliśmy, że audycja ta nie miała nic wspólnego z kaflarzami, że tytuł był przypadkowy, wzięty z piosenki ulicznej, która była motywem tej audycji—na próżno.

No tak, ale nie tylko kaflarze . . . Przeczulica polonica *grasowała w "sferach decydujących," spędzała sen z powiek "czynników miarodajnych." Po każdej niedzielnej audycji "Fali" przezorniej było mieć walizy w pogotowiu, gdyż w poniedziałek mógł nastąpić wyjazd do Centrali celem udzielenia cennych wyjaśnień w takich n.p. ważkich zagadnieniach państwowych jak: dlaczego Tońko znalazł na dnie oceanu . . . rydza i w ogóle, co znaczy ten okręt walczący z bałwanami, na próżno w ciemnościach szukający orientacji i właściwego "kursu"?*

Jechało się, jechało np. po audycji o "Zamku na lodzie," który zagrożony wichrami od zachodu i wschodu trwonił czas na dyskusje z jakiego gatunku kamienia postawić mur przeciw wiatrom, organizując z okazji obrad bankiety i tańce. Jeździło się, gdy pan minister obraził się na Aprikosenkranca i gdy pan wojewoda miał żal do Untenbauma.

Tak, tak.—3.500 czołgów, 1.000 bombowców mniej przez jedną . . . grypę. Kto by przypuścił?

Niewątpliwie naturalnym wynikiem tej polskiej przeczulicy w okresie przedwojennym była oficjalna walka wydana humorowi i satyrze polskiej prowadzona z energią godną lepszej sprawy. Raz tylko w jednym ministerstwie padło cicho wypowiedziane zdanie jakiegoś jeszcze zdrowego człowieka: "ja wolę ostrą satyrę co niedzieli, niż kamień w okna starosty co soboty."

Oczywiście w czasie epidemii takie jedno zdanie cudem ocalałego maniaka nie mogło mieć żadnego znaczenia. Długo, bardzo długo, wlecze się za nami ta moralna grypa—grypa . . . nie do naprawy. Warunki wojenne, emigracyjne torują tylko drogę tej epidemii. "Przeczulica polonica" *rzuca się na niewyładowane temperamenty, atakuje nerwy, skołatane, biedne ludzkie nerwy, uderza w niezaspokojone tęsknoty, wkrada się pod ubranie cywilne i mundur żołnierski. Przeczulica rozmnaża się w niezliczoną ilość plotek, intryg, uraz osobistych, zatruwając każdą współpracę, psując atmosferę każdego czynu, podrywając żołnierską równowagę. Na pozór drobna, ale niebezpieczna, zabiera ofiary w ludziach. Trzeba odkryć jakąś surowicę przeciw-przeczulicową, by nie pomniejszać na emigracji zastępów ludzi zrównoważonych, zdolnych do pożytecznego wysiłku i harmonijnej współpracy. Na każdym kroku tyle ofiar braku równowagi, tylu pacjentów, przeżartych przeczulicą:*

dobry publicysta—przez brak równowagi i bezstronności traci własną, dobrze zapracowaną wartość . . .

dobry oficer—przez brak opanowania nerwowego traci w ataku przeczulicy szacunek własnego podwładnego . . .

dobry żołnierz—trapiony tą epidemią moralną, traci lekkomyślnie tak uczciwie zarobioną dobrą opinię własnego przełożonego . . .

Surowicę przeciw-przeczulicową zdobyć można tylko przez mocne i pewne ustalenie równowagi dla rzeczy wielkich i małych, przez pełne uświadomienie sobie niebezpieczeństwa, płynącego z nieopanowania nerwów, przeżywających trzeci rok wojny.

Gdyby tak się udało wypompować, wydobyć cały zasób energii z tylu intryg, plotek, drobnych zadrażnień i zawiści, ile pożytecznych rzeczy można by nakładem tej energii uruchomić? Widzę już fantastyczny, radosny obraz: walą 52 tonowe czołgi fabrykacji polskiej, zbudowane przy pomocy energii, wydobytej z intryg, sunie majestatycznie dywizjon lżejszych czołgów, a na każdym napis: "Plotka"—to te ufundowane z siły zawartej w plotkach. Grzmi w górze nad nimi wspaniała eskadra bombowców "Obraza," wykonana napędem wypromieniowanym z codziennych uraz osobistych, jadą pełne ciężarówki karabinów, nowych i lśniących wytwórni: "Stara zawiść."

Defilada zmotoryzowanej przeczulicy.

Tak, tak. 3.500 czołgów, 1.000 bombowców—milion karabinów mniej przez jedną głupią grypę. . .

Wiktor Budzyński

Z życia obozów

Ochotnicy zza oceanu

Jesteśmy w wielkim porcie *somewhere* w Anglii. Samochód niesie nas do przystani, gdzie stoi już okręt, na którym przybyli z Kanady ochotnicy do lotnictwa i do marynarki wojennej.

Myśli moje są już dawno z nimi tam na pokładzie okrętu. Towarzyszyły im wówczas jeszcze, gdy statek pruł dziobem fale Atlantyku. Myśli moje są nie tylko z tymi, co są na pokładzie okrętu, lecz krążą wokół wszystkiej polskiej młodzieży w Ameryce. Wiem, że ujrzę za chwilę tych pierwszych, wiem również, że ujrzę i te dalsze szeregi młodych zastępów lotniczych.

Jesteśmy na miejscu. Okręt stoi przycumowany. Właśnie spuszczają pomost.

Pierwsi wchodzą nań celnicy. Formalnościom musi stać się zadość.

Wchodzimy wreszcie i my.

Na górnym pokładzie okrętu ochotnicy są uszykowani w długim dwuszeregu. Przyglądam się im. Wszyscy są młodzi, rośli chłopcy, dorodni. Ubrani są w zielone wojskowe płaszcze, z napisem "POLAND" na ramionach, w błękitno-szarych furażerkach na głowach; marynarze—noszą stroje marynarskie. Widać, że nie są to jeszcze żołnierze, ale postawę wszyscy mają znakomitą.

Cóż to będzie za lotnik i marynarz, oceniam w myśli. Jakież to ogromne i potężne będzie polskie lotnictwo, gdy wszyscy młodzi polscy Amerykanie i Kanadyjczycy zjawią się tu naraz. Jakaż będzie silna polska marynarka wojenna, a i broń pancerna pewnie nie zostanie przez nich pominięta.

Zastępca Inspektora Polskich Sił Powietrznych przyjmuje tymczasem raport od dowódcy ochotników, majora, który wraz z nimi przyjechał i stoi w tej chwili wyprężony, składając meldunek, w starym lecz pięknym polskim mundurze lotniczym.

Zastępca Inspektora wita przybyłych, podkreślając ich wolę spełnienia obowiązku wobec Ojczyzny i wolę walki o dobro wspólnej sprawy. Głos pułkownika płynie z serca i trafia do serc ochotników. To nie przemawia tylko jeden z wyższych oficerów lotnictwa polskiego, to mówi również starszy kolega-lotnik, który połowę swego życia spędził w lotnictwie,—mówi do kolegów młodszych, którzy dopiero wstępują na piękną powietrzną drogę przygód lotniczych.

—Rozejść się—pada komenda.

Ochotnicy otaczają pułkownika, otaczają innych—tworzą grupy i grupki. Rozmowa wartko się toczy w angielskim i polskim języku. Padają krzyżowe pytania jak tu, jak tam. W Kanadzie wiedzą o lotnikach polskich wiele, Polacy są dumni z ich wyczynów bombowych. Wszystkie gazety codziennie podają o nich wiadomości. Polakom w Kanadzie powodzi się dobrze, bogaty to kraj i jest ich drugą ojczyzną.

Połowa ochotników nie włada rodzinnym językiem. Są to już Polacy-Kanadyjczycy, krew w żyłach ich polska płynie, a mowa ich dla nas obca. Ale wszyscy wraz z krwią polską mają i polskie serca. Ojcowie ich wyszli kiedyś z Polski albo w poszukiwaniu chleba, albo uchodząc od prześladowań aż hen za ocean. Znaleźli tę drugą Ojczyznę, Kanadę, lecz nie zapomnieli i o Ojczyźnie pierwszej, o Polsce. Choć ojcowie dawno już zmarli—synowie ich zgłosili się do szeregów polskich, by szukać zemsty na odwiecznym wrogu Narodu.

Inni mówią ojczystym językiem z dziwnym obcym akcentem. Jest też kilku dawnych lotników z Polski. Byli w niewoli rosyjskiej—uciekli. Przeszli ocean ziemi syberyjskiej i po przez wyspy Japonii, poprzez ogromne wody Oceanu Spokojnego dostali się do Kanady, a dziś są znowu z nami w Anglii, opasawszy szlakiem wędrówki kulę ziemską.

Patrząc tak na nich wszystkich przypominam sobie słowa Adama Mickiewicza:

"A trzeciego dnia dusza wróci do ciała, i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli.

I przeszło już dni dwa; jeden dzień zaszedł z pierwszym wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy, a trzeci dzień wnidzie, ale nie zajdzie."

Pierwszy dzień—7 listopada 1794 roku, zajęcie Warszawy przez Suworowa po powstaniu Kościuszki. Drugi dzień—7 września 1831 roku, zajęcie Warszawy przez Paskiewicza po powstaniu listopadowym. Trzeci dzień — 29 września 1939 roku Warszawa została zajęta trzeci raz przez Niemców, ale wojna trwa, rozszerza się i Niemcy w niej będą zwyciężeni.

Niemcy w tej wojnie "zazwyciężają się" powiedział jeden z lotników—aż wreszcie legną zupełnie wyczerpani olbrzymim wysiłkiem wojennym, wtedy gdy siły innych dopiero się do boju zgromadzą w pełni.

Warszawa będzie znowu wolna—mówi o tym przybycie lotników z Rosji, przybycie ochotników z Ameryki i zapowiedź przybycia większej ich ilości.

Nadeszła chwila opuszczenia okrętu. Z wielką serdecznością żegnają się przyszli lotnicy z przyszłymi marynarzami—co na widzach robi bardzo silne wrażenie. W czasie drogi wszyscy tak się zżyli i zaprzyjaźnili. Przyjaźń jest istotą lotnictwa i marynarki—suche formy dyscypliny są tam drugorzędne, choć nie mniej obowiązujące. Te właśnie głębokie węzły przyjaźni, jeśli je rozwiniemy śród nas i rozprzestrzenimy śród wszystkich Polaków—uzdrowią to co jest w nas chore, słabe, co jest chwiejne.

Polacy z Kanady—witamy Was całym sercem i życzymy owocnej pracy i walki dla Kraju i siebie.

Henryk Dobrowolski

Chorągiew na wolności

Białoczerwona chorągiew z orłem i szachownicą wznosiła się ku niebu. Sunęła wolno. Znacznie szybciej biły serca stojących przed nią polskich lotników, niedawno przybych z Rosji. Po raz pierwszy od lat dwóch patrzyli na polską flagę i salut jej oddawali.

Rozumiem to, co czuli. Oni, którzy w swych pierwszych słowach pytali—o eskadry . . . o swoje dawne pułki z kampanii wrześniowej.

W dniu tym nie tylko w ich części obozu, ale i w głównym "campie," tuż pod flagą brytyjską powiewała i polska. Taki był ranek dnia, w którym czekało ich więcej niespodzianek. Niespodzianek świadczących wymownie, jak długą niewolą od nas oddzieleni są nam drodzy i bliscy.

. . . .

Jadę znów do nich. Przedtem "ganiałem" samotnie, lub w towarzystwie ich troskliwego, głównego opiekuna ppłk. P., teraz towarzyszę p. Z. S., córce naszego Naczelnego Wodza, która jako przedstawicielka P.C.K. wiezie im nie tylko słowa powitania, ale i miłe, praktyczne podarunki, oraz szefowi naszego lotnictwa, witającemu swoich najnowszych, a na naszym terenie obecnie najbardziej "egzotycznych" żołnierzy.

Mży deszcz i smutno jest w przestrzeni. Lecz w nas i w słowach naszych dźwięczy nuta radości. Mówimy naturalnie o nich.

Jeszcze kilka skrętów i wjeżdżamy na teren obozu "gdzieś w Anglii." Zdala już widać dowódcę zgrupowania. Wychodzimy z wozu i z pomocą "tubylców" zabieramy dla nich przeznaczone rzeczy. Brniemy po nieco "wilgotnej" ziemi i bez żadnej parady, wchodzimy do pierwszego baraku.

Zabrzmiały słowa: "baczność," szybko przez generała zmienione na "spocznij."

"Pierwsze lody złamane" i zanosząca się na nieco oficjalną—uroczystość zostaje zamieniona na szczere powitanie i serdeczną rozmowę, będących na wspólnej wędrówce ku ojczyźnie Polaków. Ułatwia to zarówno miły uśmiech i bezpośredniość p. S., jak i koleżeński sposób bycia generała. Wręczamy podarunki, oni opowiadają fragmenty swoich przeżyć, zadają mnóstwo pytań.

Idziemy od baraku do baraku, a wraz z nami, w paczkach wędrują upominki, radio i biblioteka, również dary P.C.K.,—znajdują się w świetlicy.

W jednym z baraków do p. S. podchodzi młody chłopak i wręcza pióro zrobione w tajgach syberyjskich z kawałków drzewa i kości. Inny ryngraf zrobiony ze srebrnej monety, kunsztownie wykonany, a potem i inni zaczynają wręczać upominki z dalekiej Rosji przywiezione. Generał otrzymuje ręcznie wykonane szachy i pudełko-papierośnicę z wygrawerowaną historią polskich żołnierzy w tej wojnie.

Podziwiamy piękne i precyzyjne wykonanie. Oni odpowiadają, że Rosjanie twierdzili: "Polakom wystarczy dać tylko narzędzie a zrobią w szybkim czasie czołgi i samoloty."

Chłopcy się "rozkleili"—wprost sypią anegdoty. Są może nieco wzruszeni tak serdecznym przyjęciem i wielką troskliwością. Po paru dniach nauki, robionej samorzutnie, jeszcze we "własnym zakresie" już się "naumieli."

Kończymy. Ostatni barak, ostatnia rozmowa przeciągająca się aż do drogi pomiędzy barakami w stronę bramy wyjściowej.

Idę z boku i myślę, myślę o tym przyjęciu, o podarunkach jakie dostają, o samopoczuciu i o niedawnym przemówieniu ppłk. P.: "że czeka ich trud i walka."

Samochód już gotowy. Oni za chwilę pójdą na kolację. Zgubiłem rachubę czasu, że to, co tak długo trwało—zdawało się trwać tak krótko!

Spoglądam na chorągiew, a potem w ich oczy pełne jasnej radości z odzyskanej swobody, możności dalszej walki. Wsłuchuję się w rozmowy, widzę z jakim przejęciem otwierają paczki.

Są bardzo ożywieni.—Nie wiem, czy tkwią w ich myślach może smutne wspomnienia z syberyjskiej tajgi, czy już im je przesłonił długi sen o wolności, w rzeczywistość zmieniony?!

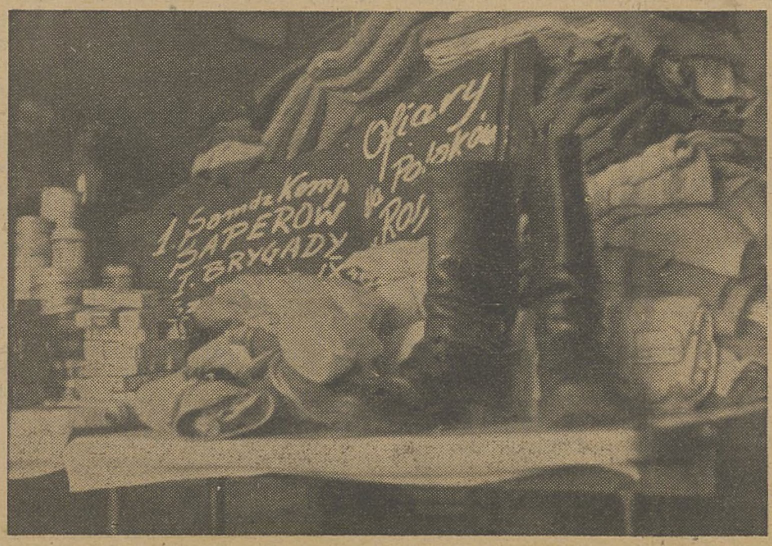
I zastanawiam się czy długo będą wspominali teraz minioną chwilę tej radości przyjęcia?! . . .

Spoglądam na nich, a potem na widniejącą na maszcie lotniczą chorągiew—symbol Polski i walki!

Wreszcie dochodzę do wniosku, że nieprędko zapomną. Bo taki dzień—był w ich życiu od dwóch lat po raz pierwszy!

Władysław Kisielewski

Pomoc dla Polaków w Rosji



Z Samodzielnej Kompanii Saperów I Brygady Strzelców otrzymaliśmy wymowną fotografię, którą reprodukujemy obok. Bylibyśmy radzi, gdyby ten piękny przykład, dany przez kolegów-saperów znalazł naśladowców we wszystkich innych oddziałach naszego wojska. "Polska Walcząca" oddaje to miejsce na doniesienia, zestawienia cyfrowe, fotografie etc., pozostające w związku ze zbiórką darów na pomoc dla Polaków w Rosji.

Pierwsze transporty dotarły już do portów rosyjskich, może w tej chwili dochodzą już do rąk naszych bliskich. Ale zima dopiero się zaczęła i potrzeby są jeszcze wielkie, olbrzymie, wołają do nas przejmującym głosem.

fotografował Jan Olgierd Bożenko

Dwa przedstawienia

Już rano, t.zn. natychmiast po przybyciu do dwu Polskich Dywizjonów Bombowych, dowiedzieliśmy się, że będą loty operacyjne. Z tego lotniska startuje kilka maszyn, a między innymi "Spirytus". Nie jest to nowy typ bombowca. Nie. Tak po prostu został ochrzczony jeden z bombardierów, porucznik z wąsem dużym, sumiastym, à la Cześnik.

Na przyjazd Czołówki, ten właśnie "Spirytus" przyjął na siebie obowiązki "opiekuna artystów". Opiekował się zaledwie godzinę, gdy "odjęto nam go od ust". Musiał więc odejść i przygotować się do "nocnej rodaków wyprawy".

Słusznie ochrzczono go mianem najmocniejszego trunku. Zalał nas bowiem "w pestkę" lekkością i barwą opowiadań o pracy bombowców, poważnym wąsem i młodzieńczą werwą. "Spirytus" nie będzie na przedstawieniu Fredrowskiej "Zemsty" "za widza", ale w tym samym czasie "za aktora" na innym "przedstawieniu" . . . Bardziej wstrząsającym, lepiej widzianym, bo z lotu ptaka, granym całym ładunkiem kilkudziesięciu bombowców.

W wyprawie bierze również udział Robert, Jony, Ochal, Poziomka, Karol, Duszka i inni.

Oczywiście wszyscy, co do jednego, jak jest nas w zespole osiem osób i dwie panie—będziemy na starcie. Panie przynoszą podobno szczęście.

Oprócz tego służą do czekania. Po każdym przedstawieniu, kiedy osiem osób chce już brać udział w kolacji, to właśnie wtedy panie zaczynają się brać do zmywania szminek i ubierania. Osiem osób ze złości biorą diabli. Nie jest to bynajmniej historia nowa. Już przed wiekami stary mędrzec chiński (nie pamiętam jak się nazywał) powiedział: "ziemia byłaby rajem, gdyby nie ziemskie stworzenia kobiety." Oprócz tego w zespole panie są poto, by były kochane jak siostry, by każdy z nas opiekował się nimi, by czuły się wśród czołówkarzy jak najlepiej.

Więc będziemy na starcie wszyscy, jak jest nas dziesięć osób, a w tym dwie panie. Przychodzimy zazwyczaj do garderoby godzinę przed początkiem przedstawienia. Tym razem są jeszcze bardziej niecierpliwe. Ci lecący z *z e m s t ą* za Kanał już zniknęli nam z oczu; oni muszą być grubo wcześniej—dłużej przygotowują się.

Dzień zleciał szybko, a myśmy czekali z niepokojem na odlot.

Nadeszła godzina "spektaklu". Zajeżdżamy na start—na wielką, zieloną scenę. My grywamy na maleńkiej estradzie, pół metra nad widownią, przy kilku zaledwie żarówkach, jednym gongu i z dwoma paniami, a oni. . . .

Początek ich sceny znaczy rampa długa na szerokość lotniska. Kurtyna ich jest zupełnie inna: w kształcie całej zielonej lampy. Gdy mignie, toczy się obok rampy, tuż przy nas, wolno i ciężko, syty do pełna bombowiec. Pomagamy mu całym wysiłkiem woli oderwać się od ziemi . . . . oh . . . już . . . już . . . — odetchnęliśmy z ulgą—oderwał się. Machamy chustkami na pożegnanie, na szczęście, na zwycięski powrót. . . .

Kurtyna poszła w górę a oni zaczęli grać . . . całą siłą wszystkich silników dokoła lotniska stojących maszyn. Po wyjściu "na plan" pierwszego, słyszymy raz z tej, raz z innej strony coś jakby rżenie młodych ogierów. To jest, jak objaśniają tubylcy, próba cekaemów. Strzelanie w ziemię.

Jak chrząknięcie aktora, który nastawia sobie za kulisami w ten sposób głos. Prawie to samo—pomyślałem.

I znów światełko, ciężkie sapanie . . . oderwał się drugi . . . trzeci . . . . Odlecieli wszyscy. Siadamy do samochodu i odjeżdżamy do teatru. Jakoś nie idzie charakteryzacja, plączą się tasiemki przy kostiumie . . . gdzie oni teraz są?

Może już nadchodzą nad cel . . . pełno światła . . . pali się całe niebo. Spokojnie spoczywa ręka pilota na wolancie. . . . Nic im nie zrobicie! Może jakiś myśliwiec . . . podchodź . . . ja czekam na ciebie . . . tu, bliżej wieżyczki.

A teraz łapcie, to dla was: jedna . . . 100 kg. . . . 200 . . . 1000 . . . Mało? zaraz podejdzie następny, on też o was pamiętał, da wam tyle, ile mógł zabrać . . . a jutro znowu . . .

Gong. Zaczynamy! Na plan!

Minął akt pierwszy, drugi w połowie. Dziwnie inaczej brzmią dziś słowa:

"Nie rzucajmy na bok okiem
Bo przepaści pewnie w koło
Ale, w niebo wzniósłszy czoło,
Śmiałym na przód idźmy krokiem.
. . . . .
Dojdziem wreszcie kiedyś celu . . ."

Napewno już doszli. Niedługo będą wracali . . . Koniec aktu czwartego—wracają! Nad lotniskiem warkot. Prosi o lądowanie—drugi—trzeci . . .

* * *

Siedzieliśmy razem spożywając kolację. Wrócili wszyscy — uśmiechnięci jak przed odlotem. Cóż, to jest ich codzienny chleb. My inaczej przeżyliśmy odlot. Patrzymy teraz w ich twarze i chcemy czytać, co myślą. Przecież przed chwilą byli tak daleko, tak wiele zrobili, tak dużo z siebie dali . . .

Po kolacji — zabawa. Sala kasyna trzęsie się od śpiewu, muzyki, gwaru.

Ochal siada do fortepianu, ktoś uspakaja towarzystwo i anonsuje wiechowskim stylem:

—Proszę państwa! obecnie sympatyczna koleżanka Jeleń odtańczy taniec egzotyczny.—

"Koleżanka Jeleń" (t.zn. Karol) nie dała się długo prosić. Odchodzi więc egzotyczny taniec. Jeszcze nie przebrzmiały salwy radości, gdy oto zjawia się na środku nowy wykonawca. Przerywają mu. Ktoś zaintonował lwowską polkę. Śpiewają wszyscy. Anglicy też. Już znają cały polski repertuar.

I tak do późnej nocy . . .

Dobrze, gdy kto umie ciężkiemu wysiłkowi czy beztroskiej zabawie oddać się całym sercem.

Mieczysław Pawlikowski

Wojna na morzu

Z okazji "Dnia Marynarki Wojennej U.S.A." prezydent Roosevelt wygłosił jeszcze jedną mowę, która, jak podają gazety amerykańskie, "brzmiała jak wypowiedzenie wojny." Była zaś to mowa wypowiedziana na trzy dni przed "trafnym" niemieckim strzałem torpedowym, zatapiającym amerykański kontrtorpedowiec "Reuben James" (1,193 tonn; 122 ludzi załogi—z czego zginęło 76 marynarzy. "Reuben James" wybudowany był w roku 1920, a więc do najmłodszych kontrtorpedowców nie należał. Sylwetka taka sama, jaką mają kontrtorpedowce, które swego czasu, w ilości 50 sztuk, zostały przez U.S.A. przekazane Wielkiej Brytanii.)

—"Ameryka została zaatakowana,—wołał prezydent—kontrtorpedowiec "Kearny" nie jest tylko okrętem Marynarki Wojennej. Należy on do każdego mężczyzny, do każdej kobiety i każdego dziecka tego Narodu . . . Zajęliśmy nasze posterunki bojowe . . ."

Do tej wojennej mowy prawie wszystkie pisma amerykańskie dodały nie mniej bojowe komentarze. Zaś "New York Times" pisze wręcz: "Czas najwyższy zakończyć kłamstwa i kpiny Amerykańskiej neutralności, czas najwyższy zwolnić nasze statki i okręty dla służby Wielkiej Sprawy, dla której mobilizuje się cała potęga Stanów Zjednoczonych."

Taki panował nastrój na trzy dni przed zatopieniem u wybrzeży Islandii k.t. "Reuben James" . . . Czy ta nowa tragedia wyrwie wreszcie Stany z bezwładu, trudno zaiste powiedzieć. Prezydent Roosevelt oświadczył na razie spokojnie, że "jeszcze" nie przewiduje się zupełnego zerwania stosunków dyplomatycznych z Niemcami, ale że środki represyjne i zapobiegawcze są w toku. On sam i jego rząd są napewno największymi zwolennikami nie tylko skasowania "Prawa o neutralności," lecz również i czynnej interwencji U.S.A. Muszą się jednak mocno liczyć z warunkami parlamentarnymi i z ogólną opinią kraju. Ona zaś, w ostatnich czasach mocno jest zdopingowana silnymi sugestiami niemieckimi, w których odrywa ważną rolę straszak japoński.

A trzeba przyznać generałowi Toyo, że umie spełniać rolę "straszaka" i sypać pogróżkami przy każdej sposobności, jednocześnie zachowując maskę chętnego do zgody i rozmów. W tym samym czasie japońskie okręty liniowe wykonują jakieś dziwne podróże do japońskich wysp "mandatowych" na Oceanie Spokojnym. W prasie amerykańskiej, nawet nie tylko w izolacjonistycznej, od czasu do czasu ukazują się artykuliki, czy też rysunkowe zestawienia o flocie wojennej japońskiej. Wygląda na to, jakby ktoś specjalnie reżyserował owe wystąpienia i notatki, w których z reguły mówi się dużo o "sekretnym programie japońskim rozbudowy marynarki wojennej", który został jakoby ukończony w r. 1941., a którego rzeczywistość przekracza znacznie europejskie i amerykańskie przewidywania.

Te i inne przyczyny (działalność Lindbergha i jego wspólników) zmuszają prezydenta Roosevelta do polityki bardzo ostrożnej i do nieustannej lekcji poglądowej dla rodaków, co jest w warunkach amerykańskich jeszcze konieczne, a co rzeczywiście może doprowadzić do białej gorączki nas, patrzących oczami Europejczyka, oczami często przysłoniętymi mgłą dymów palącej się Europy.

To też dla największego znawcy stosunków amerykańskich i dla najbardziej wprawnego "proroka" niemożliwe jest przewidzieć, jakie skutki doraźne wywoła "lekka robota niemiecka" t. j. zatopienie "Reuben James" i śmierć 87 marynarzy amerykańskich (76 na "Reuben James" i 11 na "Kearny") . . . Czas najwyższy, aby wstąpił do walki i amerykański przeciwnik prusko-hitlerowsko-niemieckiego obłędu panowania nad światem.

Gdy tymczasem. . . . Walki trwają, z monotonną wprost (jeśli chodzi o morze) regularnością powtarzając się na tych samych szlakach i na tych samych "drogach morskich" . . . Droga na północ strzeżona jest pilnie i z niesłabnącą inicjatywą. Niemcy próbują skoncentrować większe ilości transportowców w północnej Norwegii i mieliby wielką ochotę, przeprowadziwszy transport wzdłuż wybrzeży północnej Norwegii i Finlandii, zrobić desant na północy Rosji, gdzie im długie linie komunikacyjne i niedostępność tundry fińskiej mocno przeszkadzają.

W dniu 30 października, jedna jedyna eskadra R.A.F. rozbiła zupełnie taką koncentrację statków i zablokowała ważny port Aalesund. 4 statki transportowe zostały zatopione, 1 statek samoloty pozostawiły w płomieniach, 6 statkom wyleciały powietrze górne pokłady i nadbudówki. Okręt eskortujący, typu zbliżonego do brytyjskich "korwet," został poważnie uszkodzony. Samoloty R.A.F. "szalały i uwijały się" (mówiąc stylem audycji polskich w B.B.C.) nad swoimi ofiarami wszystkiego na wysokości 20 do 50 metrów. Ani jeden samolot brytyjski nie został strącony.

Jednocześnie prawie, długa seria niepowodzeń niemieckich okrętów podwodnych na tym terenie, pomnożyła się przez piękny czyn jednego brytyjskiego statku handlowego (nazwy dotąd nie podano), który starym sposobem z "tamtej" wojny zatopił niemiecki okręt podwodny. Trafiony celnym strzałem torpedowym został częściowo opuszczony przez załogę, ale obsługi dział trwały dalej na stanowiskach. Gdy zaś Niemiec wynurzył się, aby podpłynąć do szalup i zabrać papiery okrętowe, działa "ofiary" przemówiły i to tak skutecznie, że po pierwszej salwie kiosk dowódcy na okręcie podwodnym wyleciał w powietrze, a niebawem, po drugiej eksplozji, Niemiec zatonął. . . . Dzielna załoga brytyjska doprowadziła swój uszkodzony statek do jednego z portów szkockich.

Tyczasem na południu odbywa się bez przerwy przegrupowywanie i "akcja dywersyjna na Morzu Śródziemnym" nie może się jakoś rozpocząć, mimo co raz wyraźniejszych oznak, że jednak coś się tam przygotowuje. Włosi chwalą się, że zdołali dosłać do Libii całą jedną dywizję pancerną, gdy jednocześnie admirał Sommerville oświadczył:

—"Dziwię się, że ciągle jeszcze ci ludzie wypływają w morze. Z matematyczną ścisłością mógłbym dowieść, że tylko 1/3 statków włoskich wychodzących w morze dociera do miejsca przeznaczenia."

A nieszczęsne wybrzeże Libii nie tylko samoloty R.A.F. tłuką bez chwili wytchnienia tak, że można sobie zadać pytanie: co pozostało jeszcze z takiego portu w Trypolisie, ale i brytyjska flota Morza Śródziemnego bombardowała kilkakrotnie kilka ważnych punktów pomiędzy Benghazi i Tobrukiem. Najsilniejsze bombardowanie było pod Derną, gdzie podobno poczyniono wielkie straty nie tylko w umocnieniach, ale i w ludziach i sprzęcie pancernym. . . .

Tak to na południu i na północy, a zwłaszcza na dalekim, amerykańskim terenie morskim, przygotowuje się zwolna nowa bitwa. Bitwa, która będzie następnym etapem tragedii rosyjskiej.

2 listopada 1941.r.

Bohdan Pawłowicz

Prasa walcząca

Niezwykły to był zjazd dziennikarski, jaki odbył się w niedzielę —1 listopada—w Londynie. W historii dziennikarstwa polskiego niewątpliwie nie było jeszcze takiego zebrania, na którym przytłaczająca większość zgromadzonych pojawiła by się w mundurze, tak, jak się to stało tym razem. Obraz tej sali obrad dziennikarskich, wypełnionej mundurami różnych broni i różnych stopni, od szeregowca do pułkownika, symbolizował fakt, że prasa polska walczy dziś nie tylko piórem.

A jednocześnie mury tej sali pokazywały, jak potężną bronią w tej wojnie jest—słowo. Pokryły się one oryginalnymi numerami względnie odbitkami fotograficznymi tej potężnej, podziemnej prasy polskiej, która w walce Kraju z najeźdźcą tak ogromną odgrywa rolę. Był to jak gdyby komunikat z pola bitwy, na którym prasa polska—polski dziennikarz, polski zecer i polski kolporter—odnosi codzienne zwycięstwo nad przemocą wroga. Wbrew prześladowaniom, wbrew wyrokom śmierci, pomimo ogromnych trudności, podziemna prasa polska wychodzi, dociera do narodu, organizuje i kieruje walką z okupantem. W walce tej, jak na każdym polu bitwy, nieuniknione są ofiary, i tak, jak nieprzyjaciel niszczy na froncie gniazda oporu, tak i na tym podziemnym froncie wykrywa tajne redakcje i drukarnie, likwiduje kolporterów. Ale jest to front, przez który nieprzyjaciel przerwać się nie może. Na miejsce jednej utraconej placówki powstają nowe; zastrzelonych czy uwięzionych zastępują inni ochotnicy. I walka toczy się dalej.

Tym to bezimiennym bohaterom, temu Nieznanemu Żołnierzowi podziemnej prasy polskiej—dziennikarzowi, zecerowi i kolporterowi—złożyli pełen czci i pokory hołd ci, którym dane jest w o tyle łatwiejszych warunkach, na wolnej ziemi brytyjskiej, służyć Polsce, walczyć—czy to karabinem, czy piórem.

Ale nie tylko polscy dziennikarze złożyli hołd walczącej w kraju prasie. Hołdem dla niej, a zarazem dla Polski, były także przemówienia gości obecnych, przedstawicieli prasy narodów sprzymierzonych. Przemówił Anglik, Francuz, Jugosłowianin, Norweg, Czech, Grek.

Szczególnie silne wrażenie zrobiły słowa Norwega, który sam zresztą symbolizował wolę walki swego narodu, gdyż zaledwie przed miesiącem, na kutrze rybackim, uciekł z Norwegii do W. Brytanii, aby dołączyć do licznej rzeszy Norwegów, walczących tu o wspólną sprawę wolności. Mówił on, że Norwedzy zdają sobie sprawę, o ile ich los, aczkolwiek ciężki, jest lżejszy od losu Polaków; sami Niemcy w przystępie szczerości mówią im: czemuż wy się skarżycie? Polakom jest dziesięć razy gorzej!

Mówił też Norweg o Narviku, gdzie był w parę miesięcy po walkach, i gdzie tak żywe i głębokie zostało wspomnienie po tych żołnierzach polskich, którzy przebijali sobie drogę do ojczyzny także przez Narvik.

O wielu sprawach była mowa na tym zjeździe. O prasie tajnej w Polsce, o prasie żołnierskiej, która tak bujnie rozwinęła się po obozach wojskowych—we Francji, w Szkocji, w Egipcie, w Kanadzie, teraz w Rosji; o zagadnieniach zawodu, tak odpowiedzialnego w czasach normalnych, a tym bardziej w czasie wojny. Ale zapewne dla zebranych po raz pierwszy razem wszystkich dziennikarzy polskich na ziemi brytyjskiej, a zwłaszcza dla tych w mundurach, którzy z różnych obozów w Szkocji i ze stacyj lotniczych, przybyli na zjazd, szczególnie cenny był sam fakt, że mogą oto wspólnie zadokumentować i stwierdzić: prasa polska pragnie służyć Ojczyźnie według swych możliwości i swych sił. Prasa polska pragnie walczyć!

Aleksander Boray

Poszukiwania

P. Stanisław Domański, zwany "Domanem," były urzędnik B.G.K. w Warszawie proszony jest o podanie swego adresu.

P. Zalewski ma w redakcji telegram zawiadamiający go o losach jego rodziny w Rosji. Prosimy o szybkie podanie odresu.

P. Stefan Chmielewski, który był tak łaskaw pożyczyć redakcji kilka numerów "Polski Walczącej" z Francji proszony jest o podanie swego nowego adresu.

P. Stefan Pakoca poszukuje swojego brata.

P. Jan Wolański poszukuje swego znajomego z Francji, P. Fr. Datę i prosi P. J. Kiempkę o podanie wiadomości o sobie "dla swojej sympatii pozostawionej w Blamiaku."

Ks. Józef Jarzębowski szczęśliwie wydobywszy się z okupacji sowieckiej pozdrawia swoich rodaków akademików i dawnych uczniów prosząc o wiadomości: U.S.A.—721 Lawrance Street N.E. Washington D.C.

Nauczyciel w Dagenham pragnie nawiązać znajomość z Polakiem celem kontynuowania nauki języka polskiego. Adres: Park Senior School, Rectory Road, Dagenham (Domestic Science Teacher).

P. J. Lipka poszukuje dr. Gustawa Nowotnego. Wiadomości proszę skierować do redakcji "Polski Walczącej."

Dr. Młotek Mieczysław
Denasiewicz Bolesław
Buszyński Władysław
Mazur Stanisław
Komendo-Borowski Antoni
Gerula Stanisław
Janicki Zbigniew
Deręgowski Józef

i inni "JUNACY"—poszukują:

Dr. Sklenarza Leopolda
Stańczyka Adama
Chciuka Zdzisława
Chciuka Andrzeja
Rutkowicza Andrzeja
Denasiewicza Zdzisława
Skólskiego Zbigniewa
Miszczyszyna Henryka
Kościelnego Dominika
Twardego Zbigniewa
Szotkowskiego Jana
Stockiego Michała
Homana Jerzego
Slepeckiego Eugienjusza—mjr.
Wasiewicza Jana
Garbiaka Władysława
Wiśniewskiego Marcelego
Kolinicza Bolesława
Reisnera Franciszka
Mangołda Mariana
Łobosa Jana i Józefa

i innych "JUNAKÓW."—

SPIS RZECZY.

Antoni Bogusławski: Niezapomniana rocznica.—*Michał Prozor:* Meksyk w obozie sprzymierzeńców. —*Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — *Eugeniusz Hinterhoff:* Przebieg ofensywy niemieckiej. —Z Tobruku.—Działalność bojowa lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii.—*Eugeniusz Wciślicki:* Ścigacz "do wszystkiego."—*Adam Wojtyga:* Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie (II).—*Adam Ordęga:* Co myślą i piszą Polacy w Ameryce.—Skrzynka pocztowa.—*Wiktor Budzyński:* Bez blackoutu.—Z życia obozów.—*Henryk Dobrowolski:* Ochotnicy zza oceanu.—*Władysław Kisielewski:* Chorągiew na wolności.—*Mieczysław Pawlikowski:* Dwa przedstawienia. — *Bohdan Pawłowicz:* Wojna na morzu.—*Aleksander Boray:* Prasa walcząca.—Poszukiwania.—Ozdobniki *Tadeusza Lipskiego.*—Fotografie.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.